

odgłosy



nr

30

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I.

Łódź, 21 września 1958 r.

AUTO-maniacy

czyli

DZIEŃ BEZ WYPADKÓW
I BEZ... ZŁUDZEN



— Zeby panu się na głowę nie lało. — A deszcz pada i nie oszczędza „warsztatu reparacyjnego” przy ul. Piotrkowskiej 57.

Coraz częściej zajmujemy się na łamach naszego pisma sprawami motoryzacji. Dziś oddajemy do rąk Czytelnika łódzkie abecadło motoryzacyjne. Być może jego znajomość pozwoli niejednemu z Was uniknąć ciężkich pomyłek i rozczarowań. Dla niejednego z Was owo abecadło będzie ostrzeżeniem.

A — Automobil, słowo, które nigdy nie określało pojazd mechaniczny. Dziś używa się tylko jego pochodnej — automobilista — dla określenia człowieka, który marzył, który śnił i którego marzenia wreszcie się ziściły.

B — Powinno być benzyna, będzie zaś — bieda. Co tu dużo gadać, jesteśmy na dorobku. W naszym mieście niewiele znajdziemy szczęśliwców, których zarobki przekraczają granicę 4 tys. złotych. To właśnie o nich będziemy pisać — o lekarzach, adwokatach, literatach, naukowcach, o ludziach, dla których posiadanie samochodu jest nie tylko marzeniem, lecz zwykłą potrze-

bą. Tym ludziom w ich pracy zawodowej bardzo by się przydał samochód. Samochód tani, który zaoszczędziłby im przynajmniej 3 godziny cennego czasu, z pracownego dnia. Samochód, który zaoszczędziłby im także zmęczenia.

DALSZY CIĄG na str.

3



STEWARDESSY—
niedługo zobaczymy je na ekranie

Tekst: PIOTR GOSZCZYŃSKI

Zdjęcia: EDWARD ETLER

GUSLARZE

czytaj reportaż na str. 5



MY BIEDNI, PROWINCJUSZE

Tak, stwierdziłem to już z pewnością. Cierpię na wrzód złośliwy, zwany kompleksem prowincji. Tumor, nowotwór nienasycony, rozrasta się we mnie i przetrząsa z serca na wątrobę, z wątroby na krtań. Jestem prowincjuszem. Gorzej. Czuję się prowincjuszem. Gorzej. Wstydę się tego, że jestem prowincjuszem. Pogardzam sobą. Pogardzam prowincjonalnym miastem, w którym przyszło mi żyć.

A oto przykład. Idę do teatru. Powiedzmy, do Nowego. Powiedzmy, na „Dwóch paniczów z Weroną”. Spektakl mi się podoba. Jestem oczarowany, zauroczony, zaobłoczone. A potem nadchodzi czas refleksji. Ten spektakl jest dziełem łódzkiego reżysera i łódzkich aktorów. Znakiem scenografii jest dziełem łódzkiego scenografa. Więc czy to może być dobry spektakl? Czy mam prawo być zauroczony i zaobłoczony? Przecież w Warszawie... Tak, w Warszawie to się może nie spodobać. I tylko stołeczny teatr mógłby mnie zauraczyć. Wychodzę z teatru, odurczony i szczerze wściekły. Moje myśli są myśłami prowincjuszka. Wszystkie powyższe zapisane zdania są zdaniami, które mógłby zapisać tylko prowincjusz. Jestem prowincjuszem. Nie ma uczelnic przed lawiną prowincjonalnych myśli.

Przydałby nam się tu, w Łodzi, choć jeden warszawski reżyser. I choćby jeden warszawski scenograf. I kilku aktorów. Skąd? Z Warszawy. Bo w Warszawie są znakomici aktorzy. I znakomici dyrektorzy teatrów. I znakomici prof. dr. Tak, w Warszawie wszystko jest znakomite. A my, biedni, nieuczni prowincjusze, od kilku lat wzrok nasz od Warszawy odwrócił. Dlaczego? Czyżbyśmy już wszystką skromność utracili, czyżbyśmy w nasze siły uwierzyli nieopatrzenie? Warszawa na nas liczy, a my, tyłem do niej zwrócenie. Kazimierzowi Dejmowskiemu niskie poklony bijemy. A tymczasem z teatrem w Łodzi jest źle. I z plastyką jest źle. I prof. dr. w Łodzi jest niewielu. Więc opamiętajmy się, otrzeźwiemy. I zwróćmy swe oczy ku Warszawie. I poklony bijąc, o pomoc, o ratunek uniżenie prosimy. W Warszawie są

znakomici warszawianie. Niech przybywają, niech powiedzą, co też w teatrach naszych grać się winno. Może Perzyskiego? A może Zapolską? Niech powiedzą, jak oni robią to i tamto i owo. I niech u nas, za nas, wbrew nam, zrobią to i tamto i owo. My wierzymy, że robią to świetnie, że Europę nam przybliżą. Czego dowodem ta mała notatka, z łódzkiej prasy codziennej wyjęta:

„Jak nas informuje dyr. Borowski, znany krytyk teatralny i publicysta, prof. Jan Kott wyraził w dniu wczorajszym zgodę na objęcie stanowiska kierownika literackiego w Teatrze im. Jaracza w Łodzi.

Jest to wydarzenie mogące mieć bardzo poważny wpływ na rozwój życia artystycznego i kulturalnego naszego miasta, a jak informuje dyr. Borowski istnieje nawet możliwość reżyserskiej współpracy z Janem Kottem na terenie teatru”.

Słownie. Ja wierzę, że profesor Jan Kott może wiele zrobić. Ale chyba nie wszystko. I dlatego moje propozycje sięgać będą dalej. Dla dobra tego miasta, dla dobra jego kultury i sztuki, proponuję uczynić, co następuje: Kazimierza Dejmowskiego powołać na dyrektora i reżysera w Teatrze Nowym. Na jego miejsce zaangażować kogoś (kogośkolwiek) z Warszawy. W tymże teatrze wywołać pracę kierownika literackiego Janowi Koprowskiemu. To stanowisko może przecież objąć prof. Jan Kott. Stanisława Czernika przesiedlić do Ostrzeszowa. Na jego miejsce przysłać redaktora naczelnego „Współczesności”. Plastykom (wszystkim!) odebrać pracownie. W ten sposób rozwiązane zostaną kłopoty mieszkaniowe plastyków warszawskich.

Takie są moje propozycje. Rozsądna polityka mieszkaniowa, polegająca na odbieraniu mieszkań łodzianom, a przydzielaniu ich znakomitym warszawiakom, umożliwi tym ostatnim osiedlenie się w Łodzi. Niech żyją tu, między nami. Tak będzie najlepiej. Bo my, biedni prowincjusze, bardzo nie lubimy wszystkiego, co jest zdalnie kierowane. Ani zdalnie kierowanych placówek. Ani zdalnie kierowanych teatrów.

Nasza szkółka

„TE RZECZY” I KALKULACJA



Jak wiadomo wszystkim mającym dobre uszy, mężczyźni najczęściej rozmawiają o wynikach sportowych, a kobiety o tym, jak „związać koniec z końcem”. Jeśli tu dodać, że w okresach kiedy nie pasjonującego w sporcie się nie dzieje i mężczyźni podejmują ten nieśmiertelny damski temat — wynika stąd niezbyt, że nadal i niezmienione sprawy i troski materialne są główną kwestią interesującą i dręczącą ludzi. Aby to stwierdzić nie trzeba zresztą pisać uprzednio o uszach i o sporcie — rączę tu i tak każdy przyzna.

Ongiś istniał u nas następujący podział pracy językiem: obywatele mówili o swych troskach, a władze państwowe o swych sukcesach. Obecnie zanikło owo tematyczne rozdwojenie, obywatel w swoich biadoleniach nie jest już osamotniony, a nawet wysokie czynniki państwowe nie ograniczyły się do smętnych stwierdzeń: poważny, państwowy Główny Urząd Statystyczny wraz z szeregiem placówek naukowych podjął badanie budżetów rodzinnych.

Część ważkich wniosków, płynących z tych badań Belfer zamierza właśnie Wam zasygnalizować. A temu jego zamiarowi towarzyszy świadomość, iż spotkała się one z energicznymi protestami, grymasami, głosami oburzenia i światobliwej niechęci licznych a Szanownych Czytelników. Tym razem Belfer, zazwyczaj w stosunku do odbiorców bejziltowy, czuje się pewnie: cyfry i fakty mają niewzruszoną moc.

Nie będę podawał GUS-owych tabel, jako że felietonowa forma i ramy bardzo ich nie lubią, odsyłam tedy zainteresowanych do wydawnictw GUS lub szerszych publicystycznych — naukowych

opracowań tego tematu poczynionych przez Łosia i Kołodziejczyka („Ekonomista”). Od razu zajmę się wnioskami, korzystając z przeżutych już przez innych papki. Ale za to przedstawię je fenomenalnie krótko.

Wysokość stopy życiowej każdej rodziny mierzymy sumą dochodów, przypadających na poszczególnego członka tej rodziny. Jednym słowem — co jest oczywiście — stopa życiowa rodziny zależy od dwóch czynników: globalnych zarobków wszystkich członków rodziny oraz ilości ludzi w rodzinie.

Zabiegając o polepszenie sytuacji materialnej staramy się o powiększenie zarobków, tj. zwiększamy wydajność pracy (przy zarobkach akordowych), zmieniamy posadę, zabiegamy o podwyżkę lub awans itp. Tymczasem okazuje się, że w związku z niewielką w gruncie rzeczy rozpiętością zarobków w Polsce (przynajmniej biorąc podstawową masę ludności) czynnikami bardziej od zarobków ważącymi dla stopy życiowej rodziny jest ilość jej członków, wśród których zarobki te trzeba dzielić. Innymi słowy istotniejsze jest to, ile osób trzeba wyżywić, niż to, za ile złotych miesięcznie można je wyżywić.

Oczywiście, członek rodziny członkowi nierówny. Największym obciążeniem dla budżetu są dzieci, mające (z punktu widzenia dożądnej ekonomiki) wpływ na stopę życiową wyłącznie ujemny, nie tylko bowiem nie wnoszą pozytywnych wartości złotychwowych do globalnego dochodu rodzinnego, nie tylko zmniejszają go utrudniając kobietom zarobkowanie, ale stanowią też jednostki rodzinne, które do komórek, na które dochód trzeba dzielić. Brutalizując — żeby do żywienia.

Tymczasem dane GUS zawierają inną jeszcze smutną wiadomość: im niższe są zarobki rodziny, tym więcej jest w niej dzieci. (Oczywiście w skali globalnych przeciętnych krajowych). To znaczy: największa ilość dzieci przypada na rodziny, w których zarabiający członkowie otrzymują najniższe uposażenia. Jest to wyłumaczalne: najmniej (w skali globalnej) zarabiają ludzie, prezentujący sobą najniższy poziom wiedzy ogólnej i zawodowej, a co za tym idzie, o najniższym poziomie kultury w ogóle z najniższym poziomem kultury współzycia społecznego.

I to jest właśnie najtragiczniejsze.

W języku polskim dosyć obco brzmi (w sensie merytorycznym, nie językowym) potoczne, obiegowe w całej Europie sformułowanie „stać mnie na dziecko”, „nie stać mnie na dziecko”, „nie stać mnie na dziecko”.

A przecież w całym cywilizowanym świecie sprawy te są przedmiotem zwykłej, życiowej kalkulacji każdego człowieka. Powiadają często ludzie: „jego stać na małżeństwo”, co oznacza, że ma on zawód wyuczony, pracę, możliwość zdobycia mieszkania. „Stać kogoś na dziecko” oznacza, że małżeństwo w jakimś niezbędnym sensie urządziło się, a suma jego dochodów bieżących, czy też oszczędności, pozwala na poniesienie dodatkowych ciężarów materialnych na dziecko bez istotnego uszczerbku dla nich samych, a przede wszystkim dla owego dziecka. Przedmiotem takiej samej kalkulacji jest kwestia spłodzenia drugiego czy też w pewnych wypadkach trzeciego dziecka. Wszelka przypadkowość, lekkomyślność w tych sprawach jest zjawiskiem rzadkim, spotyka się z potępieniem otoczenia. Początkowa jest za działanie nienormalne i amoralne.

Czyli odwrotnie niż u nas. Mimo iż rozważa i kalkulacja w tych kwestiach dyktowane są przede wszystkim dobrem samych dzieci, „nasze” teorie i nasza praktyka dzieci właśnie krzywdzą.

Zrobiliśmy wielki skok w tych sprawach wprowadzając do sprzedaży środki antykoncepcyjne i umożliwiając niektórym kobietom, legitymującym się szczególnie ciężką sytuacją mate-

rialną i rodzinną, sztuczne przerywanie ciąży. Pomijam już kwestię niewystarczalności tych poczyniń. (Brak sensownej propagandy, trudności w uzyskaniu porady lekarskiej w tych kwestiach, defensywność, oczekiwanie aż „klient” sam przyjdzie do lekarza lub apteki). Do tych spraw „Odgłosy” powrócą w najbliższym czasie.

Istotne jest rozpoczęcie szerzenia kultury kalkulacji w sprawach rodzinnych. A to przez dyskusję własnie nad budżetami rodzinnymi, badaniem stopy życiowej i zasobności rodzin, które na różnych etapach podejmowały małżeńskie i „dzieciatne” decyzje z uwzględnieniem pozytywnych wzorów, szerokie publikowanie np. kalkulacji „ile kosztuje dziecko”, zaznajamianie z lekarskimi wymogami, dotyczącymi zagadnienia, w jakich warunkach dziecko powinno być chowane itd., itd.

Oczywiście wymaga to długiej i cierpliwiej pracy, by zaczęły choćby kiełkować tu elementy kalkulacji i z góry przemyślanego działania. Wielkie są bowiem nawyki odwrotne. Nawet sam pionierski w tych sprawach i światły Boy pisał był wierszyki, nawołujące do zżubnych z punktu widzenia polityki populacyjnej praktyk („nie ulega wątpliwości, jak mawiała stara miania, lepiej ciupciać bez miłości niż miłować bez ciupciań”) nie dodając, że, oczywiście, ma tu na myśli „te rzeczy” z użyciem środków antykoncepcyjnych.

BELFER



STANISŁAW KASZYŃSKI

KORESPONDENCJA WŁASNA „ODGŁOSÓW”

MIESZANKA JUGOSŁOWIAŃSKA

I. Ambitny, młody człowiek we Francji czy w Polsce, parający się sztuką, od pierwszego wiersza czy plótka zerkną na stronę stolicy. Tam lokuje swoje marzenia, tam z pomocą, imaginacji urządza mieszkanie, tam nawiązuje kontakty. Młodość nie tęskni jeszcze do syneku prowincji, ambicja każe ignorować pozycje poety województwa lub miasta. Tę prawdę łatwo uchwycisz w rozmowach, a także sprawdzisz

ja dość często w nowym warszawskim adresie łódzkiego kolegi. Konstrukcja życia kulturalnego naszego kraju usprawiedliwia poniekąd owe dośrodkowe ciągnięcia i wszystkie deklaracje lokalnego patriotyzmu z reguły nie wytrzymują próby naturalnego ciśnienia atrakcji, stawy i — co tu dużo mówić — forsy. A przecież to wszystko oferuje stolica.

Jakoś inaczej układają się te sprawy w Jugosławii. Czy tam nie ma w ogóle Rastignaków pióra i palety? Są. Ale schemat ruchu intelektualnego jest po prostu inny wobec istnienia kilku centrów promieniowania. Wiąże się to po części z autonomizacją egzystencją republik

wchodzących w skład współczesnej Jugosławii. Można z powodzeniem unifikować system prawny i ekonomiczny, podobny zabieg nie do pomyślenia w dziedzinie kultury, która ma swoje odrębne źródła, tradycje, treści, a nawet, jak w wypadku Jugosławii, język. Jeżeli mieszkaniowiec Lublany nie rozumie współobywatela z Zagrzebia, młody pisarz ma tym samym ściśle zdeterminowany los artystyczny, kariery, zasięg oddziaływania. Naturalne przyporządkowanie do jednego czy drugiego kręgu udaremnia siła rzeczy jednokierunkowy błąd w stronę Belgradu. Pozostaje w zasadzie cieżenie do trzech głównych ośrodków (stolic

republik): Belgradu (Serbia), Zagrzebia (Chorwacja) i Lublany (Słowenia). Ta struktura ukształtowana historia pozostała i łatwo ją dostrzec w samodzielnych poczynaniach na gruncie przede wszystkim nauki. Wzajemne przenikanie i współpraca — nie ulega wątpliwości, szczególnie między Belgradem i Zagrzebiem, ułatwione jednym językiem. Istnieje więc odrębne akademie nauk z nadzrzedną władzą, na uniwersytetach wykładają się np. literatura chorwacka czy serbska, wydaje się — powiedzmy — antologię serbskiej liryki czy chorwackiej esej, redagując się czasopisma literackie w różnych językach, na wielojęzycznym

terytorium działają węgierski i rumuński teatr. Oto mieniaca się kolorami mozaika kultur i tradycji, które w atmosferze życia w jednym organizmie państwowym coraz bardziej nabrały jednolitego tonu, barwy, charakteru i funkcji. W tym sensie dzisiaj nie ma absolutnie znaczenia to czy inne narodowościowe pochodzenie twórcy; Miroslav Krleža będąc pisarzem chorwackim jest przede wszystkim jugosłowiańskim pisarzem.

II. Współczesna sztuka jugosłowiańska? Ruch intelektualny? Książki? Takie pytania mają to do siebie, że trudno na nie odpowiadać. Spróbujmy jednak. Wierzę, że powierzonej sondy odkrywa bogactwo form, ale najbardziej frapuje rozmaitość szkół i kierunków w poezji, a następnie w plastyce. Te dwie dziedziny do prawdy imponują i olśniewają

talentami, oryginalnością, swobodą poszukiwań, wrażliwością temperamentów. Renesans poezji w kategorii ilościowej jest zjawiskiem chyba ogólnoeuropejskim. U nas bodajże polowa mieszkanców układa wiersze. Toż samo daje się zaobserwować nad Sawa i Dunajem. Z nazwisk — Oskar Davicz, wybiegający daleko swoją trudną intelektualizowaną poezją ponad doborową stawkę, w której zwraca uwagę Vasko Popa, z najmłodszych — Dragan Kolundžija z wyraźnymi skłonnościami do surrealizmu. Infiltracja zachodnich poetyk, zwłaszcza Amerykanów i Anglików na tym polu jest bezsporna. Brak natomiast jakichś ciekawszych kontynuacji czy nawłazów do dawnej świetnej poezji ludowej (zachwyty Mickiewicza!) czy programowych wyznań poetyckich, może dlatego, że ten watek wy-

(Dokończenie na str. 7)



Dyrektor Piekut jest pełen optymizmu... No cóż, być może w 1968 roku otrzyma z PRN m. Łódź lokalizację na salon samochodowy i magazyny.

AUTO-maniacy

(Dokończenie ze str. 1)

C — Należałoby pisać o częstotliwości, lecz o nich potem. Teraz na „tapetę” pójdzie słowo — cel. „Cel uświęca środki”. A więc ów zarabiający 4 tys. złotych postanowił mimo wszystko kupić auto. Gdy ujrano go w samochodzie na Piotrkowskiej zawisłi szepotali między sobą — kombinator. A on? On ma samochód, który jako żywo należy na prawdę do: ciotki, która sprzedała gdzieś morgę za 15 tysięcy złotych, do kolegi, który uciulał parę tysięcy na PKO, do kasy pożyczkowej instytucji, w której pracuje, i gdzie pożyczył 5 tysięcy złotych na 10. spłat. Prócz tego samochód należy jeszcze do kilkunastu osób, które owemu marzycielowi, a dziś już automobilście pożyczki po 2 tysiące, do... soboty no i martwią się, że to już 25 sobota mija, a on nie pamięta o zwrocie długu.

Skupcie uwagę na słowie „automobilista”. Cóż za trafne określenie! Oznacza ono bowiem człowieka, który mobilizował gdzie mógł pieniądze i kupił auto. Tu właśnie tkwi w tym automobilizowaniu źródło słów wyrazu „automobil”.

D — Długi, niestety, należy spłacać. Ów gość zarabiał, jak się rzekło, 4 tys. złotych. Ma samochód, ale też chce żyć. „Gimnastykuje” się więc przez okrągły miesiąc — jak spłacić choć dwa tysiące wierzycielom, za co żyć z rodziną przez długich dni trzydziestki, jak utrzymać samochód?

E — Eksploatacja. Będzie o niej poniżej.

F — Finansowy wydział widzi w owym posiadaczu samochodu co najmniej milionera. Znajomi podejrzewają go o kanty, afery, nadużycia, a on z rodziną je na obiad... zsiadł mleko z kartoflami, w domu ma wyłączony telefon, nie zapłacone komorne i drzwi „twardo” zamknięte przed co bardziej „natrętnymi” wierzycielami.

G — Garaż? No, niech będzie garaż chociaż powinno być „guzik”, który mu pozostaje na życie, książki, rozrywki kulturalne, ale mieliśmy pisać o garażach — więc piszmy. To jest zbrodnia i utrapienie każdego posiadacza samochodu. Architekci, którzy niegdyś Łódź budowali, jeśli budowali ją w ogóle architekci, o garażach nie myśleli. Tak jak nie myślą o nich architekci i urbaniści budujący Łódź dzisiejszą. Garaży nie ma i nie było. — Auta stoją pod gołym niebem, na deszczu, na słońcu, na mrozie i... mszczą. Brak garaży na zdrowie im nie pójdzie. Buduje się nowe bloki mieszkalne, nie myśląc o tym, że coraz częściej będą się ziszczać ludzkie marzenia, że w końcu samochód przestanie być obiektem marzeń, a stanie się przedmiotem codziennego użytku, że coraz więcej łódzian kupi w końcu samochody.

Można by wybudować w Łodzi „okrągłak” na 200 czy 300 boksów, ale byłaby to przysłowiowa kropka w morzu — proponuje więc inne rozwiązanie — budowę lekkich, przenośnych garaży przez spółdzielczość, przez zakłady przemysłu terenowego. Można je zainstalować z prefabrykatów, z gipsu, z prasowanego papieru — byle by były. I byle by podatek od garaży

nie wynosił tyle co od willi, byle by garaż nie kosztował tyle co domek jednorodzinny. Wiadomo dziś nienajlepszy garaż kosztuje 14 tysięcy złotych. Za wynajęcie boksu w domu należącym do Zarządu Nieruchomości Miejskich płaci się złotych 300 miesięcznie, a od prywatnego posiadacza samochodu za garaż także jego prywatny właściciel każe sobie płacić miesiąc w miesiąc złotych 500. Podatek zaś od własnego garażu wybudowanego własnymi środkami przy zastosowaniu wszelkich możliwych ulg wynosi 70 zł. Nawet ta ostatnia suma jest chyba wygórowana.

H — Handel samochodami do niedawnego czasu przynosił grube dochody różnego rodzaju spekulantom. Dziś przynosi grube dochody „Motozbytowi”. Ceny? Patrz „Lunarnik” nr 5 („Odgłosy” 28).

„Warszawa” i „Syrenka” sprzedawane są również systemem ratalnym, Połowa gotówczą, połowa na jedenaście spłat. No cóż, 60 tysięcy czy 24,5 tysiąca to sumka wcale niebagatelna. Ale jak się rzekło pod literą „C” i „D” zaciągaliśmy długi, musimy je spłacać. Pozostaje jeszcze litera „E” czyli raty. I znów z tych czterech tysięcy złotych, które zarabiasz, z których oddajesz długi płacić musisz jeszcze raty. Jak to robisz? Ano kosztem nieprzespanych nocy, kosztem

(Dokończenie na str. 5)



Gdyby nie sztyld „Motozbytu” można by pomyśleć, że to... Buenos Aires. Tylko Łódź — w odświeżonej, „wielostrumieniowej” szacie.

odgłosy

str.
3



Reprezentacyjny salon „Motozbytu” — wiadomo Europa...

GUŚLARZE

Podczas wędrówki za człowiekiem o „DIABELSKICH OCZACH” dobrzy ludzie nauczyli mnie wielu tajemnych praktyk i dali wiele ciekawych rad, których próbki — na wstępie — pragnę niniejszym przekazać, jako że współczesne piśmiennictwo „ucieka od tematów trudnych”. Z prostej uczciwości zastrzegam, że ich nie wypróbowałem, a to z braku czasu i okazji a nie, jak twierdzą poniektórzy — przez niedowiarstwo.

...Osoby cierpiące na bezpłodność w wyniku rzuconych zaklęć winny: w nocy z ostatniego na pierwszy dzień miesiąca, zamoczyć spodnią bieliznę strony przeciwnej w wywarze z pokrzywy i o północy okręcając ją wokół nagich bioder okrążyć trzy razy zabudowania z okrzykiem: „Natknij me”.

Jak twierdzi osoba autorytatywna skutek piorunujący! Co prawda — w znanym mi przypadku ojciec ma pretensje o zbyt duże podobieństwo do sąsiada, ale mężczyźni zawsze są tacy podejrzliwi...

...Jeśli hodujesz koze, króliki, a w zachowaniu ich dostrzeżesz kiedyś jakieś anomalie — leniwe ruchy, brak apetytu, spadek na wadze — staraj się odnaleźć osoby, które ostatnie widziały zwierzęta. Bez ich wiedzy (!) zabierz im kawałek bezużytecznej szmaty — najlepsza jest podszewka ze starego paltoła. Szmaty należy spalić a popiół wymieszać z pokarmem.

...Przewlekły a bezprzyczynowy płacz dziecka, szczególnie w godzinach obładowych i nocnych, jest charakterystyczny w wypadku rzuconego uroku. Najskuteczniej działa metoda — ta z kozą czy królikiem. Z tym jednak, że szmat nie pali się, a tylko zaparza w wodzie po piętnastkach. Następnie, nacierając okolice klatki piersiowej należy pluć na cztery strony świata wykrzykując między pstryknięciami: „A pódzies ty!”.

Przelewanie wosku czy nacieranie rogiem poduszki nieaktualne!

...Jeżeli pragniesz ażeby krowa — mająca się ocielić w wigilię — dała ci byczka, bacz, by pierwszym gościem w twoim domu nie była kobieta w tym dniu, i na odwrót.

...Chcesz zaś pójść w ślady Paganiniego? Weź skrzypki, niekoniecznie Stradivariusa, mogą być zwykłe — i pójdz w noc poprzedzającą Zaduszki na rozstajne drogi. Tam odpoczywają ludzie o diabelskich oczach, pomogą.

Nie wierzyć? Pójdź więc za mną tam, gdzie diabeł mówi dzieło dobre...

Tę znajomość zawarłem poprzecz sęd, który rozpatrywał sprawę dość odległą i może schematyczną jak na nasze wojenne doświadczenia.

W Brzozowicach w pow. wielunińskim Józalewie uchodzą za bogatych gospodarzy. Jakby nie było, koń i klacz żrebną, krów kilka — to chyba wystarczające dowody bogactwa. Bogactwo zaś ma to do siebie, że każde zachwianie się jego równowagi sprowadza strach. Toteż tym większy niepokój wnosił pewnego dnia kilkuletni chłopak — żyjący wówczas na laskawym chlebie — donosząc o dziwnym zachowaniu się krowy. Krowa jakoś potniała, pokładła się i w ogóle z nią kiepsko było.

— „Zaroczyńce” — stwierdził ze złością ktoś z domowników.

Był późny księżycowy wieczór. Cisze, pełną wyczekiwania, przerywały jedynie dalekie, żałosne skomlenia bezpańskich psów. Z izby jakaś postać wyniosła naczynie pełne żaru i chylił się pobiegła do obory. Wątki cienie pełzały jak widma po kątach. Dziwnym i niezrozumiałym słowom towarzyszyły miarowe, okrzęte ruchy naczynia z żarom, wokół „zaroczonych” wymion. Czad ostro wdierał się w nozdrza krowy wyciskając głębokie postękiwania. Widocznie cierpliwość delikwentki wyczerpała się, bo jednym machnięciem ogona rozrzuciła po oborze żarzące się węgle, wzniciając tym pożar. Na tle obory zamajaczyła sylwetka uciekającego wyrostka. A może to jego ciekawość była przyczyną tak niefortunnego wyniku zaklęć?

— Zanim zabrali mnie na posterunek, gospodarze kazali mi włożyć na siebie podpalenie obory — wyjaśniał potem przed sądem jedyny świadek, nie zauważony wówczas ów kilkuletni sługa.

Na północny zachód od Wielunia droga nie zapowiada niczego, co by wzbudzało zaciekawienie. Dopiero gdy skręcisz w lewo na którymś tam kilometrze piaszczysty trakt wrzynający się klinem w las i ostry, dziki śpiew ptactwa potęguje nastrój niepokoju.

— Do Brzozowic, babciu, któredy? — pytam babinkę schlebającą na kolanach. Przenajwiększej z kapliczek na rozstaju drogi.

— Ady zaro Brzozowice. Jak las się skunicy, za drewnianym krzyżem, skryńcica po rynec od serca. Za figurą kole ty nowej chaty Stanisławów idźcie pod zagajnik. Tam już, jak spojrzycie za słupcem będą brzozowickie chaty — odpowiada zęgnając się babcia.

Tutaj bezużyteczne byłoby: chyba urzędowe drogowskazy, a i miejsca przeznaczone dla nich zajęły krzyże, kapliczki — osadzone głęboko w chudej ziemi. Dzięki tym szczególnym znakom bez trudu odnajduję cel mojej wędrówki. W polu, na uboczu stoj osamotniona zagroda, tak stara jak jej mieszkańcy — wokół których krąży różne wieści. Starzy sąsiedzi w rozmowach o tej zagrodzie są tajemniczo małomówni, młodzi na-

tomliast pogardliwym szeptem rzucają guślarze!

Po przybyciu do zagrody, w rozmowie, Józalewie z niechęcią wspominali niewdzięcznego sługę, który dziś sądownie dochodzi za płaty za służbę. Gospodarz, przenikliwym spojrzeniem powstrzymuje gadatliwą staruszkę. Wszelkie próby skierowania rozmowy na temat pożaru kwituje milczeniem.

— Jo, panie, o krowach nie nie wim, ale z kuźm miodem takie zdarzynie. Kiedyś jade se a tu kuźm mi potnieje i sie obola. Oho, to sie zaro pozna jak ktoś zaroczy. Na to jest tylko jedno rada: przez rozpupek wyciugnuć koszulę i pocierać kuniowi mindzy ślipiami, to zaro wstanie. Panie, ludzie mają takie oczy...

Nie przypuszczałem, że pod tą lakoniczną notatką kryje się człowiek o „diabelskich oczach”: „Stanisław Wieczorek zamieszkały we wsi Mastowie oskarża Lamorskiego Józefa o to, że w dniu 10 lipca 1958 r. o godz. 15 w kuźni został uderzony przez oskarżonego dwa razy pięścią w głowę oraz o to, że używał słów powściągliwie uznanych za obelżywe...”

No, w końcu coś „konkretniejszego” — myślałem sobie — jadąc do wsi rozrzuconej po obu stronach drogi. Pana Lamorskiego nie zastałem w zabudowaniach znajdujących się na wprost małego drewnianego kościółka, ale żona chętnie opowiada o wypadkach, które były na wokandy.

— Bo tak, my mamy pszczoły, nie tylko swoje, ale i z Rudnik. A Wieczorek, chociaż ma też swoje — ciugnie się przed naszymi zatrzymanymi, wchodzi na podwórko i podgląda. Jo mu mówiłam, nie pomagało. Aż tu kiedyś, szedł z rowera, włożył na podwórze i tak się gapił tymi swoimi diabelskimi oczami, że cały rój spod na zimie. No to mój jak się dowiedział — zatrzymuje Wieczorka kole kuźni i powiada mu, a tym jeszcze z gimnazjum! Chłop nie strzymał i...

Na widok człowieka o smutnym i zmęczonym spojrzeniu moje wielodniowe przygotowania do rozmowy z kimś „takim” rozprysły się.

— Dzień dobry, pan do mnie? — zapytałem Wieczorek, ciekawie zaglądając mi w twarz. Czuję się nieswojo, powstała jakaś głupia sytuacja, no bo „diabłu” wiedziałbym jakie zadawać pytania.

— Czy to pan miał przykre zajście z Lamorskim?

— Tak, na szczęście już po wszystkim — dobrotliwie odpowiada Wieczorek — Ja, widzi pan, jestem przodownikiem w hodowli roślin i mam obowiązek zaglądania do ogrodów, sadów, po to, ażeby doradzić... A tu ni stąd ni zowąd coś takiego. I jeszcze pobicie! To bardzo przykre, ale musiałem oddać sprawę do sądu, niech rozstrzygnie. Przecież, nie będę się bił? Na rozprawie chciałem się pogodzić, pogodziłem się chociaż z wszystkim kosztowało mnie wiele. Ja, panie, chcę z wszystkimi w zgodzie...

Nie przypuszczałem nawet, że ta ostatnia noc, będzie dla mnie nocą pełną emocji i pierwszym krokiem w świat tajemniczych praktyk. Bo przecież przypadek najczęstszemu umożliwia odnalezienie trudnego celu. Tak było i tym razem. Wracając z wiołczęgi miałem ostatnie zabudowania wioski. Jeszcze cmentarz i las, który oddzielał mnie od drogi prowadzącej do miasteczka. Słońce kryjąc się za drzewa ostatnimi promieniami gaskało świat, tylko kurz osiadły na ciecie, dokuczliwie wżerał się w pory. Zza lasu wybiegły żałosne śpiewy, kołysząc przedwieczorny spokój. Grupa ludzi z modlitewnie skrzyżowanymi rękoma, otaczała czarną,



podłużną skrzynię. Przewidyując zniechęcenie zaciekawiony śladem pod cmentarnym płotem. Czyżby płacz wiódł się przez cmentarz za trumną. Jakaś staruszka w przyodziewku ze szmat, kładąc obok wiązki uschłych gałęzi, zapowiedziała mruklawie, potrząsając kościstym palcem.

— Niech tu leży, to moje.

— Dobrze — odparłem uśmiechając się.

Z cmentarza, staruszka wyszła ostatnia. Gdy nachylała się nad wiązką zaproponowałem:

— A może odnieść, babciu?

Babcia, przenikliwie zaglądając mi w oczy, uśmiechnęła się. Minęłyśmy płotek z chróstu. Pod chatą położyłem wiązkę i poprosiłem o kubek wody. Staruszka, wzorem dobrej gospodyni, wskazując stołek przed progiem dodała:

— Masz mleka, przyniosłam ze wsi.

Wieczorek schodził coraz niżej. Siedziałem zapatrzony w pustkę, w nastroju, jaki przynosi zmęczenie. Wymijałem natrętne pytania, udając ból głowy. Po chwili, staruszka wyniosła garniec wypełniony jakąś cieczą i zamoczywszy szmatkę przyłożyła mi do czoła.

— Co to jest? — zapytałem.

— Jakaś ciekawość, podrap się pod piętą — mruknęła.

— Widzi babciu, to mnie interesuje, ja właśnie...

Schlebając, delikatnie wyjaśniałem cel moich poszukiwań.

— A tyś nie nasłany? — zapytała podejrzliwie.

— Przez kogo?

— I chcesz wiedzieć, tak? Dobrze...

Długo w noc babcia przekazywała mi swoje tajemnice, siedząc na progu izby. Naraz, spojrzawszy na wysoko zawieszony księżyc poderwała się.

— Słuchaj, pójdiesz teraz — wyszeptala jakoś dziwnie, zbliżając do mnie swoją zwiędłą twarz.

Jej starcze ruchy nabrały energii, a oczy jakiegoś nienaturalnego blasku. Całą swoją osobą wyrażała niepokój. Wreszcie wbiegła do mieszkania i po chwili, trzymając białe zawiniątko ruszyła do wyjścia pociągając mnie za rękaw. Szła szybko jakby w zapamiętaniu. Dopiero pod cmentarzem zatrzymała się, nakazując bezwzględne milczenie. Bacznie rozejrzała się wokół i przez wyrwę weszliśmy na cmentarz. Sytuacja stawała się nieznosnie męcząca, przewrażliwienie dopełniało miary. Ponad naszymi głowami przeraźliwie zakrzeczał nocny ptak.

— Zły znak! — szeptem odezwała się starucha.

Wreszcie zatrzymała się przy świeżo sklepionej mogile i mrużąc, palcami rozgarniała ziemię, głęboko, głęboko, tuż obok tablicy z niewidocznym napisem. W wy-

kopanej jamie ułokowała zawiniątko i przysypawszy je lepką ziemią, krążyła wokół drogi.

Powrotną drogę przebiegliśmy. Przed progiem izby zatrzymała się i nie odwracając głowy, przez ramie zaczęła jakimś zdartym, nie-naturalnym głosem.

— Już jestem stara, ale musiałam jeszcze raz. Zabrała mi go, a teraz niech... To były jej włosy. Już czterdzieści lat jak mi przeskodził w tym. Wejdz tutaj i czekaj — popchnęła mnie do bocznej izby, a sama zniknęła za cuchnącą firanką naprzeciw.

Izba wydawała się pustą. Dopiero po chwili w świetle księżyca dostrzegłem łożko pod oknem. Czekać stanąłem w kącie. Powrót staruchy wprowadził mnie w ostateczne osłupienie. W progu, zatrzymała się wyprostowana, z rozpuszczonymi kosmykami włosów na białej koszuli sięgającej bosych stóp. Na talerzu, ustawionym przy łożku, skrzyżowała dwie łyżki, ręcznik owinięła wokół szyi i wlewając na talerz wodę nabrana przed wschodem słońca (!) szepiała:

„Mieścacyku jasny, kawalerze krasny, przyniś mi się panie! Był przed wielkim ołtarzem Wzięła z tobą ślubowanie”

szepiała do księżyca, szepiała, aż pierwszy kur nie zapowiedział dnia.

Przynaglany szofer z niechęcią zwiększał szybkość jazdy. Kabaretowe bożyszcze Paryża, piskliwym głosem wdzierało się do głowy — wypłonej wrażeń i uciekającej nocy. Zdenierowany kierowca przekreślił gałkę radia; londyńska rozgłośnia komentowała wypadek przepłynięcia pierwszej łodzi o napędzie atomowym pod lodami Morza Północnego.

Co prawda z dużym opóźnieniem, ale stawilem się na umówione spotkanie z młodym inżynierem. Przepraszając za spóźnienie wspominałem o naszej karkołomnej jeździe.

— Już niedługo, przyjacielu — wtrącił mój rozmówca — i skrecony kark przestanie być groźny. Zbliżamy się do czasu, w którym człowieka będzie można rozebrać na metalowe lub plastikowe części. Ot, polutować serduszek popękane od nadmiaru uczuć, podpiłować nóżkę w okolicy kolana — to wizja niedalekiej przyszłości, którą będziesz oglądał swoim radarowym okiem, wspominając z rozrzewieniem: „nie było to jak za naszych czasów...”

Jakże męczący jest wiek, w którym żyjemy, wiek wielkich kontrastów. I pomyśleć, że są ludzie, którym ciemnota nanosi uśmiech zadowolenia na rumiane policzki...



AUTO-maniacy

(Dokończenie ze str. 3)

wyższej pracy dodatkowej. Zastrzeżmy się już wcześniej, że o prywatnej inicjatywie i o ludziach zarabiających w sposób nieuczciwy pisać nie będziemy. A więc kupiłeś już samochód i chcesz nim jeździć.

I — I tu zaczynają się twoje kłopoty. Benzyna nie jest tania, „Turystyczna” zginęła z rynku wraz ze skasowaniem talonów. 20 litrów w CPN kosztuje 96 zł, do tego dochodzi oliwa czyli dalszych złotych 13. Razem 109 zł. Za te 109 zł przejeździsz około 250 km. Tanie? W porównaniu do cen benzyny na Zachodzie tak. Do twoich zarobków — nie. Ale to przecież nie są wszystkie koszty utrzymania samochodu. O innych tarapatach pisać będziemy pod literą „R” — remonty, „W” — warsztaty, wreszcie pod literą „O” — Obywatelska Milicja. Tak, tak, milicja też „kosztuje”. Ale teraz chcielibyśmy jeszcze coś o CPN. Stacje benzynowe urzędują w sposób nieco dziwny bo albo w nich brak benzyny, albo oliwy lub też jest przyjęcie towarów, albo w ogóle nie urzędują. A posiadacz samochodu na ostatnim litrze goni z krawca na krawiec miasta. I kłopot CPN ile tylko wlezie. Oj, CPN-ie. A w niedziele? W niedziele możesz umrzeć na trasie. CPN-y zamknięte na trzy spusty. A dlaczego?

J — Jezus, Maryjo! Ile kłopotów? I jeszcze coś na „J”. — Sen czy „Jawa”? Niekiedy w prasie znaleźć można takie ogłoszenie: „Zamienię samochód „Adler-Junior” na motocykl „Jawa”. A ty masz właśnie „Jawę”. Pędzisz więc na niej pod wskazany adres i już ci serce łomocze, że za „motor” będziesz miał samochód... Radzę ci, zatrzymaj się na chwilę. Patrz — oto budka z wodą sodową — napij się i pomyśl — kto przy zdrowych zmysłach zamieni samochód na motocykl? Chyba, że ten samochód już sam nie chodził. że trzeba go pchać lub ciągnąć od warsztatu do warsztatu. Wtedy bądź pewien, że dzień w dzień w jego przepastnym wnętrzu utoniesz niejedną setkę złotych. A pożytku i tak z niego mieć nie będziesz. Zrezygnuj i wracaj do domu.

Innym razem wprowadza cię w świat marzeń i utrudza cię w władze, które nakazują modernizację taboru taksówkowego. Myślisz — „taksiarze” będą musieli sprzedać niektóre wozy — może coś się tanio trafi... A jakże! Trafi się — trupa. Na tym „trupie” potrafił jeździć i zarabiać jedynie dzielny łódzki „taksiarz”. Ty, gdybyś taki wóz nabył przy braku znajomości łajników „wnętrza”, „wysiadzisz” raz dwa, i to nieodwołalnie, w końcu „wysiadzisz” na zawsze. Prócz tego zaś stracisz przynajmniej 20 tysięcy. Z takich okazji także nie radzę ci korzystać.

K — Kupić samochód łatwiej niż go utrzymać to pewne. I jeszcze coś także na literę „K” — kocie łby czyli innymi słowy łódzkie nawierzchnie. Tu już zaczyna się tragedia. I tu także „leży ples potrzebny”. Gdyby bowiem mieszkańcy Łodzi łamali tyle nóg co dziennie lamie się resorów w samochodach, cała Łódź chodziłaby o kulach. Ulice łódzkie podrażają koszt posiadania samochodu w sposób „zasadniczy”. Cześć im za to! Po paru tysiącach kilometrów nowy samochód staje się starym, roztrzęsionym pudłem.



„Mercedes 170” — szybkość maksymalna 120 km na godzinę. Zużywa 14 litrów na 100 km, cena używanego wozu 60 tysięcy złotych. Rzecz zrozumiała, dane z dnia wczorajszego.

L — Lepiej źle jeździć niż dobrze chodzić — mówi stare przysłowie, a więc ty posiadając samochód jeździsz martwiąc się po kolei o wszystko — o dług, o raty, o eksploatację wozów, o brak części zamiennych.

L — Łatwiej bowiem „wielbłądowi” przecisnąć się przez ucho igielne niż posiadaczowi samochodu kupić część wymienną.

M — „Motozbyt” nie jest winien. Autor niniejszego części korzysta z uprzejmości dyrektora Piekuta gdy trzeba czegoś szukać „w Polsce”. Ale dyrektor Piekut jest bezsilny, mógłby trzymać w magazynie cały asortyment części zamiennych, gdyby właśnie miał... magazyn. A o to dobić się w Łodzi niełatwo. Mija (M) miesiąc za miesiącem (M) a odpowiedzialne czynniki nie mogą „zlokalizować” swej decyzji w sprawie miejsca budowy magazynu. Fundusze nie są przeznaczone tylko na budowę magazynów, ale i na budowę nowoczesnego salonu samochodowego.

N — Nigdzie nie ma części zamiennych? Ależ skądże znowu! Są! U pani Nowickiej. Nicco drożej, ale kupić można. To nieco drożej to także jedna z przyczyn podrażniających eksploatację wozu. Gdy nie dostaniecie poszukiwanej części pod wskazaną literą „N” na pewno dostaniecie je u „Złodzieja”. Dlatego z dużej litery i w cudzysłowie? Bo to tylko pseudonim jednego z właścicieli sklepów z częściami zamiennymi i akcesoriami do samochodów. Nazwa dosyć nieprzejmna, ale broń Boże nie oznacza, że ten pan sam jest złodziejem. Nie, on nie kradnie, on tylko drogo sobie liczy i stąd popularne w łódzkim świecie samochodowym określenie. Gdybyś chciał, użytkownika samochodu, wszystkie części wymieniane tamże kupować to koszt utrzymania twojego pojazdu wzrosłby do sum astronomicznych. Nie sterczyłoby ci na raty, na spłaty, na życie, nie sterczyłoby ci nawet na kupno sznura by się powiesić.

O — O, Milicjo Obywatelska! Tobie osobny rozdział się należy w historii rozwoju łódzkiej motoryzacji. Różnie o Tobie mówiono na tegorocznym „sejmiku kierowców samochodowych” — raczej źle niż dobrze. Ja twierdzę, że poprawiłaś się znacznie. Mandaty karne sypią się bardziej umiarkowanie, z talonami postępowanie obywateli w sposób bardziej rzeczowy. To i dobrze. I za to Wam cześć! Za to trzykrotne hurra! Ale dlaczego to Piotrkowska dzień w dzień wygląda jak aleja wysadza-na jaśminami? To delikatna aluzja do Waszych białych czapek, które tylko na tej ulicy widać. A na innych ulicach Was, obywateli, nie ma! Czyżbyście tylko defilowali z przyzwyczajenia na „deplaku”? A ja tęsknię do Waszego widoku na innych ulicach także. Na przykład na skrzyżowaniu alei Kościuszki i ulicy Andrzeja. W tym punkcie zdarzają się nieprzyjemne „korki”. I tam Was brak. A rozbity samochód także podraża koszty eksploatacji. A więc komu mandat?

P — Parking! Nie ma ich w Łodzi, a kiedy będą? W naszym mieście jest dosyć miejsca, by urządzić



Kierowca w... tarapatach — tłum rechoce z uciechy. Nie śmiej się z dziaćki z cudzego wypadku — jutro Ty możesz zasiać za kierownicą...

parkingi normalne i strzeżone za opłatą. Ale, jak dotąd, nikt o tym nie pomyślał, a czas chyba najwyższy. Niniejsze dedykuję ob. Smolcowi, o którym będzie jeszcze mowa pod literą „S”.

R — Remonty samochodowe. Oj niedobrze! Jeden TOS pracujący coraz lepiej i chyba to już wszystko, bo prywatnych warsztatów „zlokalizowanych” w szopach, szopkach i rudach brać chyba na serio nie można.

Dziwna niechęć ze strony rzemieślników — fachowców panuje wobec tak potrzebnych w naszym mieście placówek. A może niedziwna? A może to tylko skutki polityki Wydziału Finansowego, który w rzemieślniku zatrudniającym dwóch uczniów dopatruje się od razu... potentata? A może by tak według normalnej taryfy? Bo motoryzacja prosi, szanownych panów, to rzecz poważna i państwu konieczna. Jakże więc tak — jedną ręką jedno, a drugą drugie? Boć przecież partia i rząd chcą rozwoju motoryzacji, a bez warsztatów z tą sprawą ani rusz.

Pod adresem niektórych właścicieli warsztatów też by można rzecz słów parę — panowie, jest Was mało, ale to bynajmniej nie oznacza, że powinniście się czuć czymś wyższym od klienta. Nie robicie mu laski, a hasło: „Klient nasz pan” trzeba nie tylko powiesić na ścianie, ale i nosić głęboko w sercu. Jako, że z kleszeni do serca wiedzie prosta droga. Do kogo te słowa? A choćby do właściciela stacji obsługi przy ul. Mickiewicza.

S — SZTRUMPF WŁADY-SŁAW — dyrektor „Motozbytu” przedsiębiorstwa na ulicy Brukowej sprzedającego nowe samochody. Anioli nie człowiek. Dziennie odbierający setki telefonów — panie dyrektorze, czy „Spartaki” już nadeszły? Czy będą jeszcze „Fiaty”? Panie dyrektorze... panie dyrektorze...

Według opinii fachowców najbardziej rzutki i fachowy z dyrektorów wojewódzkich „Motozbytów”. SMOLEK TADEUSZ — kierownik Wydziału Komunikacji PRN m. Łodzi. Człowiek, o którym historia motoryzacji naszego miasta wspomni kiedyś nieczym o Kazimierzu Wielkim — ten który zastał Łódź drewnianą, pozostawił murewaną. „Murewaną” pod względem porządku na ulicach w Łodzi. Prócz innych osiągnięć onże jako pierwszy w Polsce właśnie w naszym mieście wprowadził ruch wielostrumieniowy. Jest także rzecznikiem „Dnia bez wypadku”, z której to okazji niniejsze abecadło napisano, a w której to „Dzień” piszący nie wierzy, czemu da wyraz poniżej.

T — Trudności z takim „Dniem” będą wielorakie, bo rzecz w tym, że nie tylko kierowcy powodują wypadki ale i piesi także, i rowerzyści, i woznice, i motorniczowie tramwajów też, a „goni się” przeważnie kierowców”. Naukę ruchu i to wszelkiego trzeba zacząć od podstaw, od początku, od małego dziecka. W szkole, w harcerstwie, w organizacji młodzieżowej trzeba uczyć i jeszcze raz uczyć, jak wia-

domo „czegoś” Jaś się nie nauczy. Jan nie będzie umiał”. Kierowcy także nie są bez winy — lubią jechać na małym lub dużym „gazie”. Czasem jednak wypadek powoduje zły stan techniczny samochodu. O właśnie! A my chcemy mówić o samochodach używanych.

U — Używany samochód? Jest ich dużo. Do wyboru i koloru. Są wielkie „Fordy”, są i małe „Fiaty”. Są po 100 tysięcy i po 20 tysięcy też. Te ostatnie to wystużone DKW, które na leżniku mają... 65 tysięcy km, a w „kościach” przepraszam w częściach czują już drugą, tę górną połowę miliona. I dziwić się nie ma czemu — „latają” już od 1936 roku. Czas im na emerytazę? Najwyższy! Tymczasem sprytny pan wysoki, tegi i barczysty urzędujący dzień w dzień w „Łódziance” przekonywać cię będzie, że to jeszcze zupełnie dobry wóz, że drugiego takiego nie tylko w Łodzi, ale i w całej Polsce nie znajdziesz. Ten pan handluje samochodami, więc niekoniecznie musiś mu wierzyć. Na owej „dykcji” tak czy siak zarobi jeszcze 2 „patyki”. Po co jednak ty masz mu wypychać pieniądze do kieszeni? Może wolisz ten wóz za 100 tys. złotych? Patrz jak ładnie wygląda. Lakier lśni aż oczy boją, ale nikt ci nie powie, że w ciągu dnia trzy razy przeciera się ten wóz... oliwą. Nikt ci nie powie, że skrzynia biegów już lada moment wysiadzie, że tylny most to już nie most a watała „kladka”, że silnik miał cztery generalne remonty i... pięć szlifów. Nikt ci nie powie również o tym, że wczoraj z tego samochodu wykrecono leżnik i „cofnęto” go do 15 tys. kilometrów. To taka liczba w sam raz — ani za dużo, ani za mało. I tak się nikt nie pozna. Wreszcie ów leżnik pan nie poinformuje cię o tym, że ten wóz to natłoczony pijak, benzynę łąpie jak wodę — 40 litrów na 100 kilometrów to dla tego „ochlapusa” nie a nie za dużo, a prócz tego lubi się „zaoliwić” — też w odpowiednim stosunku. Przyjrzyj mu się uważnie...

— Co, nie chce pan kupić tego samochodu? To wóz jak złoto!... **W** — Właśnie. Wypadki drogowe zdarzają się przeważnie z winy nietrzeźwych kierowców i innych użytkowników dróg. W Polsce tylko w roku 1956 było 2.548 wypadków. W rezultacie: zabitych 1621 osób, rannych 9.484. W roku 1957 wypadków było 3.272, a więc wzrost o 19,6 proc., zabitych 1.875 osób, rannych — 1.134. No tak, lepiej więc będzie gdy w gospodach i restauracjach kierowca poprosi kelnera: — Panie szefie, raz kielbasa na gorąco, niż — no to cyk jeszcze jedną „kojsę”.

X — Xieża także jeżdżą samochodami — niech więc modła się, by wypadków było coraz mniej, a samochody były coraz tańsze. **Z** — Zebrałem te wszystkie uwagi na dzień bez wypadków, który niech także będzie dniem bez złudzeń. Z motoryzacją nie jest wesoło. Posiadacz samochodu nie zawsze jest kombinatorem, ale zawsze jest



Niektórzy nazywają tę bramę — bramą piekiel. W rzeczywistości jest to wjazd do Komendy Ruchu. Bramy tej raczej przekraczać nie radzimy.

człowiekiem mającym rozliczne kłopoty i troski. Oby miał ich jak najmniej. Dlatego też jako dodatek bezpłatny załączamy 10 przykazań na użytek tych co samochód kupić by chcieli:

- 1 — Nie będziesz miał nigdy żadnego samochodu, żadnego pojazdu mechanicznego, żadnego wehikulu, który napędzany benzyną jest.
- 2 — Nie będziesz nigdy marzył o samochodzie ani o żadnej rzeczy, która po drogach toczy się.
- 3 — Pamiętaj abyś w dzień każdego dzikował małżonkę swoją, iże uchroniła cię od kupna samochodu.
- 4 — Cześć tych, którzy nie pozwalają dojść ci do posiadania własnego samochodu.
- 5 — Nie zabijaj, nie powoduj kłaków, nie mając samochodu śpij spokojnie.
- 6 — Nie cudzołóż — nie bierz kobiety ani gwałtem ani autem.
- 7 — Nie kradnij na kupno samochodu.
- 8 — Nie obmawiaj bliźniego swego posiadającego samochód, albowiem jest on meczennikiem.
- 9 — Nie pożądam auta bliźniego swego.
- 10 — Ani motocyklu, motoroweru, skutera czy hulajnogi albowiem są to szatańskie wymysły stworzone na zgubę człowieka.

PIOTR GOSZCZYŃSKI.

P.S. Pytasz się dlaczego ja mam samochód? Od małego dziecka miałem „ciagoty” ku męczennictwu. To dlatego zasiliłem szeregi autoproletariatu.

P. G.

odqtośy

wiersze

IGOR SIKIRYCKI

Przygoda biedronki

Tam, gdzie las się kończy, a zaczyna łąka
Leciła nad rzeką mała biedronka.

Leciła, bo chciała poznać świat daleki,
A że wiatr się zerwał, wpadła wprost do rzeki.

Nie zdążyła szepnąć: — Co mnie teraz spotka —
A już ją polknęła srebrnoluska plotka.

Plotka chciała płynąć w zatokę głęboką,
Ale ją po drodze polknął głodny okoń.

Bo gdy głodny okoń w rzece rybkę spotka,
Polyka nie patrząc czy plotka czy szprotka.

Płył sobie okoń wesoły niesłychanie —
Wtem go sandacz polknął na drugie śniadanie.

Zaś w głębi, gdzie rzeka wielki krąg zatacza,
Głodny szczupak polknął sytego sandacza.

Zanim jednak wieczór pokrył łąki rosą,
Już szczupaka polknął na kolację losoś.

Przyszła noc i księżyc jak latarnia świecił —
Wtedy to lososia rybak złapał w sieci.

Zaniósł go do miasta w malowanej skrzyni
I sprzedał na rynku pewnej gospodyni.

Mąż tej gospodyni, często zdarza to się,
Lubił jadać ryby, a zwłaszcza lososie.

A że znakomitym był także kucharzem
Rzekł: — Tęgo lososia sam sobie usmażę.

Nie darmo mieszkałem cztery lata w Jasie,
Stamtąd wiem, że ryby smaży się na maśle.

Przeciął rybę nożem i oczom nie wierzy,
Bo w brzuchu lososia piękny szczupak leży.

Przeciął więc szczupaka, w mące go otacza
I nagle zobaczył w szczupaku sandacza.

Przekroił sandacza, otarł pot na skroniach
I krzyknął: — Cud chyba! — na widok okonia.

Przeciął brzuch okonia, zagląda do środka,
A tam sobie leży srebrnoluska plotka.

Kiedy przeciął plotkę: — O rrety! — wyjął,
Bowiem z brzucha plotki wypadła biedronka.

Wypadła zmęczona, chwilę posiedziała
Prosto przez okno na dwór poleciała.

Leciła, bo chciała poznać świat daleki,
Ale omijała brzegi każdej rzeki.



Tatusi ślad przy biurku.
Tatusi wiersze pisze.
Nagle świerszcz gdzieś zagral
I zakłócił ciszę.

Tatusi mówi: — Aniu,
Znajdź mi tego grajka!
Szukam, ciągle szukam,
Lecz z tym świerszczem — bajka.

Szukam go w kredensie
I pukam w podłogę.
Wypatruję w krzesle,
Lecz znaleźć nie mogę.

Odnalazłam tylko
Babcę okulary.
Trzy duże guziki,
Pantofel od pary.

Jak ten świerszcz wygląda?
Chudy? Z grubym brzuszkiem?
Skrzył się gdzieś po kątach
Albo gra pod łóżkiem?

Mama już się gniewa:
„— Jeśli nie przestaniesz,
To temu grajkowi
Wymówię mieszkanie”.

A ja lubię świerszcza,
Jeśli znaleźć da się —
Wzjęm go do tornistra
I schowam go w klasie.

Niech zagra spod ławki
I lekcje podpowie,
Chociaż to zbyt ciche,
Bo mam wszystko w głowie.

WZ A. BARTO

dla



HONORATA CHRÓSCIELEWSKA

Tęcza

Czy to tęcza w czas po burzy
Nie chcą lśnić na niebie dłużej
Osunęła się na ziemię,
Wpadła w piórnik, cicho drzemie?

Może pasiak to wełniany
Przez księżankę ręcznie tkany
W barwne smugi — pas przy pasie
Rozłożono w naszej klasie?

Czy to kwiatów pstre korony?
Bukiet pięknie ułożony?
Łąka wiosną? Ogród w lecie?
Pewnie same już zgadniecie?
Tak. To kredki małej Romki,
Co rysuje krzywe domki.



Wpadła do klasy
Przez okno pszczoła
I jęła z brzękiem
Kraść dokola:
to pod sufitem,
to nad podłogą,
to za plecami,
to tuż nad głową.
Kubie, co w klasie
był za malucha,
mało nie wpadła
nagle do ucha,
a co dopiero
mówić o Rózi,
której wpaść chciała
prosto do buzi,
przy Magdzie bzykła,
przy Asi wzięła,
a Szymka mało
w nos nie ugryzła.

Buchnął wrzask dzieci,
aż szyby jęły,
zwłaszcza dziewczynki:
zadła się zębkami.
chłopcy, co zwykle
tacy zuchwali,
pierwsi pod ławkę
głowy schowali.
Im więcej dzieci
krzyczą i wrzeszczą,
tym szybciej pszczoła
krąży w powietrzu.

RYSZARD BRUDZYŃSKI

Dwa Ryszardy

Byli sobie dwa Ryszardy,
Jeden miękki, drugi twardy.
Miękki słaby był i czuły,
Twardy silne miał muskuly.

Miękki chudy był i błąd,
Twardy jadł po dwa obłady.
Jadł, że uszy mu się trzęsły,
Kiedy miękki brzuch miał wklesty.

Twardy skakał, miękki nie chciał,
Twardy robił to co zechciał,
Miękki mówił: Nie chcę, dzięki,
Ja nie mogę, bom jest miękki.

Twardy uczył się wytrwale,
Miękki wcale lub ospale,
Twardy czytał, a ten miękki
Nie chciał książki brać do ręki.

Twardy silny był, chłopisko,
Biegł z ochotą na boisko.
Miękki z każdym ruchem ręki
Już wydawał ciche jęki.

Twardy biegł wesoły, zdrowy
I przesadzał wszystkie rowy,
A ten miękki chory, słaby,
Nie mógł dotknąć nawet żaby.

Twardy Ryszard nosił paczki,
Szedł do sklepu, zbierał znaczki,
Podczas kiedy Ryszard miękki
Miał ból ręki albo szczęki.

Stale tylko mówił: Dzięki,
Ja nie mogę, bom jest miękki.
Cienki miękki, hardy twardy —
Takie były te Ryszardy.

Choć niepewne ich imiona —
Rzecz ta nie jest wymyślona.
Ze są tacy, to przynajmniej —
Może wy ich także znacie?



Grymaśnica

Znów grymasi mała Zocha,
Ze łaleczka jej nie kocha,
Ze na kaluży nie ma szprotki,
Ze na księżyc za daleko.

Ze miód słodki, a sól słona,
Ze wisienka za czerwona,
Ze w kaluży nie ma szprotki,
Ze nie umie pływać kotek.

Ze jest Zocha a nie Grześiem,
Ze książeczka sama drze się,
Ze w szwajcarskim serze dziury
I że morze to nie góry...

Czemu znów się Zocha dąsa?
Mars na czoło, buzia w pasach?
Czy to nie wstyd, proszę Zochy
Bez powodu stroić fochy?



Wtem gruby Wojtuś,
co był sportowcem,
a przy tym, widać,
rozsądnym chłopcem:
„Przeście! — krzyknął —
Wściecie co, dzieci?
Jak będzie cicho,
może odlecie...”

No i gdy klasa
się uczyła,
pszczoła raz jeszcze
ją okrzyła,
jeszcze raz wzięła,
jeszcze raz bzykła,
w otwarte okno
śmigała
i
znikła.

MARIAN PIECHAŁ

KTO CZYTA WIERSZY?

Dzieci. Jedynie dzieci. I tylko jeszcze dzieci. Ożywiście te najmłodsze, bo starsze już nie. Przechodzą na sport, na bardziej praktyczne rozrywki, w najlepszym przypadku na czytanie powieści podręcznych, fantastycznych i kryminalnych. To pewnik! Pewnik! Spytajcie nauczycieli, wychowawców, rodziców, Ja sam jestem „rodzicem”, to i wiem.

A starsi? Czy starsi nie czytają? Owszem, czytają. Nawet więcej niż kiedykolwiek. Ale nie wiersze. Niektórzy ze starszych pamiętają pewne wiersze własne z czasów wczesnego dzieciństwa. I ten zapas wyświeca im na całe życie. Później lektura wierszy to była dla nich istna tortura. I taką pozostała do dziś. Złazcza tych dzisiejszych wierszy bez rymu i rytmu, bez melodii słowa, bez strofki ułatwiającej czytanie wiersza i z pierwszego rzutu oka pozwalającej odróżnić poezję od prozy. A dziś wiersz — czort wie, co to jest? I męczyć się przy tym, czytając? Po kiego diabła? Nikt przecież z czytających nie chce się dobrowolnie oddawać torturom, zwłaszcza gdy nie ma zamiaru zostać świętym męczennikiem!

Starsi rozumują często w ten sposób: jeżeli już coś czytać z dziedziny tzw. literatury pięknej, to w żadnym wypadku i za żadne skarby nie wiersze. Dziś nawet najbardziej zakochani w sobie nie obdarzają się wzajem tomikami wierszy jak to było za niedawnych jeszcze, a już przedpotopowych prawie, czasów Leopolda Staffa i Juliana Tuwima. Dziś dla narzeczonych jest Saganika albo powieści kryminalne, w których więcej mowy o wzajemnych „naparzeniach” i „mordobiciach” między konkurentami o serce wybranej bogdaniki, niż czułych słów o miłości. A jeśli już słowa, które wypowiadają zakochani, to raczej nie czule, a mocne, jak na przykład: „Ty kraso lachadojdo” (ona do niego), albo „Ty kurza twoja bładz” (on do niej). W ogóle ekliwne i przesłodzone struny dawnej poezji sentymentalnej nie odpowiadają dzisiejszym zakochanym. Gardzą gitarą hawajską, wolą jazz, a nawet sam bęben — byle coś tego dudniło. Hałas bardziej rozgrzewa krew, niż melodia, a zgrzyt po szkło skuteczniej budzi stepione zmysły, niż harmonijny akord.

No to tak się sprawa przedstawia z wieloma starszymi i na ogół (bo są też wyjątki, choć rzadkie, ale o nich później) z młodzieżą naszą „nowoczesną” w stosunku do poezji, a właściwie do wierszy (bo to nie zawsze jest jedno i to samo). Może przesadziłem? Sądze, że niewiele. Wiersze rzadko kto z dorosłych czyta. To fakt. Z wyjątkiem tych nienormalnych, których na szczęście dla naszego społeczeństwa nie jest tak wielu. Bo naprawdę, jak mówią ci normalni, trzeba być zupełnym wariatem, żeby czytać wiersze, zwłaszcza te „nowoczesne”. Tak że dziedzina poezji, dziedzina wierszy pozostaje prawie wyłączną domeną dzieci.

Tak jest. Przede wszystkim dzieci i przede wszystkim dzieciom jeszcze czyta się dzisiaj wiersze. I jedynie dla dzieci jeszcze wiersz jako lektura nie jest torturą i znajduje swych mniej lub więcej entuzjastycznych czytelników, słuchaczy i lubowników. Kiedyś przed wojną w Paryżu znakomity poeta Jan Lechoń zdziwił się bardzo, że nie umie na pamięć

wiersza, który przed nim chwalił. On uczył się na pamięć każdego wiersza, który mu się podobał. Kto dzisiaj z dorosłych i przy zdrowych zmysłach uczyłby się wiersza na pamięć? Tylko chyba wariaci, aktorzy (ci często zresztą przeważnie z musu) i dzieci. A właściwie z prawdziwego przekonania i dla własnej satysfakcji tylko i jedynie dzieci.

No więc poeci muszą sobie wreszcie zdać sprawę z tego, że piszą jedynie dla dzieci. Bo chyba nie ludzą się, że dla potomności. Potomność będzie miała własnych, lepszych poetów, jeśli w ogóle będzie ich potrzebowała. Mnie osobiście wydaje się, że raczej nie. Ale mniejsza z tym. Chodzi o to, że z faktu czytania wierszy tylko przez dzieci wynikają pewne obowiązujące konsekwencje, z których piszący poeci powinni sobie jasno zdawać sprawę. Jest jeden ważny fakt w całym tym problemie. Otóż, owszem, dzieci czytają wiersze, ale bynajmniej nie wiersze rzekomo nowoczesne. Dlaczego? Czyście nad tym pomyśleli, o czcigodni pionierzy poezji „nowoczesnej”, to znaczy wierszy bez rymu, bez rytmu, bez strofy, a nawet nieraz kompletnie bez żadnego ładu i składu w tzw. poezji dotychczas obowiązującego? Dzieci czytają najchętniej wiersze najbardziej klasyczne, właśnie owe katarynkowe samograjstroficzne, rytmiczne i, że tak powiem, rymiczne. I takie poeci poezji pozostanie im już na całe życie, bo wiadomo, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci. Więc na Boga, jakiego poezji czytelnicy wyrósł w przyszłości z tych dzieci? Ano chyba nie „nowoczesnej”. Te „nowoczesne” ci przyszli dorośli, a dzisiejsze dzieci, odrzucałyby, jako rzecz obcą i zabiorą się wzorem dzisiejszych dorosłych i młodzieży do swojej i swoistej jakiejś przyszłej Saganiki, do sportu, do jazzu, bo ja wiem, do czego?

W takim razie, kto będzie w przyszłości czytał wiersza rzekomo nowoczesnego? A może by tak spróbować z dziećmi eksperymentu z wierszami „nowoczesnymi”? Jesli wiersz „nowoczesny” jest doskonalszy od wiersza klasycznego, to powinien, że tak powiem, być zdolny do dania dzieciom równie mocnego wzruszenia, co dotychczasowy wiersz klasyczny. Mam jednak bardzo poważne wątpliwości. Bo „nowoczesność” wiersza, o której piszę, jak dotychczas, polega nie na roszczeniu jego zawartości treściowej, a nawet tematycznej, ale raczej na coraz większym zawężeniu i ograniczeniu. Trudno sobie na przykład wyobrazić celny wiersz satyryczny, wywołujący natychmiastowy skutek u czytelnika, pisany w manierze, czy też jak to się dzisiaj mówi, konwencji nowoczesnej. Tak samo trudno sobie wyobrazić utwor dla dzieci, pisany w podobnym stylu. Jednym słowem te treści i tematy są za trudne do uchwycenia przez tzw. wiersz nowoczesny.

Tak więc, moi drodzy, dochodzimy do smutnego wniosku, że w najbliższej przyszłości nawet i dzieci przestaną czytać wiersze.

Bo nawet wtedy nie czytają wierszy. Piszących wiersze w Polsce jest dziś, według mego bardzo skromnego obliczenia, około 30.000 (trzydziestu tysięcy), a tomiki wierszy rocznie się wydają w 300 (trzystu) egzemplarzach. Nie wierzę, że Zapytajcie księgarzy.

Tak więc jedyny ratunek dla poezji i poetów — w dzieciach!

Swierszcz

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

str. 6 **odgłosy**



Naszą nową kolumnę „Przedstawiamy prozatorów łódzkich” otwieramy opowiadaniem tegorocznego laureata nagrody literackiej m. Łodzi, Władysława Rymkiewicza, autora popularnych powieści historycznych „Rycerze i ciury”, „Dworzanin pana Morsztyna” i „Noc saska”, oraz naszego stałego felietonisty, znanego czytelnikom „Odgłosów” z rubryki „Rozmaitości staropolskie”.

Nowela „Wiesław i Gładys” została wyróżniona pierwszą nagrodą w r. 1928 na konkursie tygodnika „Wiadomości Literackie” i była drukowana 30 lat temu w „Wiadomościach”, a następnie w tomie opowiadań pt. „Pan swego życia”, który był debiutem literackim Władysława Rymkiewicza.

Było kwadrans po piątej i wszyscy przyszli do przekonania, że pani Freeman nie przyjdzie dziś na lekcję. Złazła rudy i tepley Gaston dowodził tego z przejęciem, powołując się zresztą na znaną punktualność angielską. Wiesław, który podniósł do ust filiżankę kawy, pomyślał ze złością, że dobrze by się stało, gdyby pani Freeman przyszła, choćby na przekór temu głupiemu Gastonowi. Wiadoma bowiem rzecz była, że Gaston przychodzi na lekcje angielskiego tylko po to, żeby bałamucić Pię, gadantyczną szatynkę bez wdzięku. Pia była posadzoną jedynaczką, córką państwa domu. Werszlerowie od paru lat usilowali ją wydać za mąż, ale na próżno. Ponieważ zaś w tym roku nadchodziła dwudziesta siódma wiosna Pii, rozpoczęto intensywne zabiegi na całej linii. W planie strategicznym przewidziane były również komplety języka angielskiego, chodzą bowiem o to, żeby Pia była wciąż otoczona młodzieżą.

— Wobec tego może weźmiemy dziś leżę do teatru? — zaproponowała pani Werszlerowa, patrząc badawczo na Wiesława.

— Pan Gaston twierdził wprawdzie, że Anglicy są punktualni — obruszył się Wiesław. — O ile jednak wiem, są oni również dobrze wychowani! Gdyby więc Mistress miała dziś nie przyjść na lekcję, zatelefonowałaby z pewnością.

To powiedzenie pomieszało zyski, ale właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek w korytarzu. Pani Drewsowa, młoda wdówka, sentymentalna i pulchna, spojrzawszy z uznaniem na Wiesława. Nie zwróciła na to uwagi. Chętnym uchem łowił rozmowę z przedpokoju. Tak, to pani Freeman! Usprawiedliwiła się przed Werszlerową z opóźnienia.

— Oh, cela ne fait rien, cela ne fait rien, chère madame! — zapewniła przedko tamta.

Tymczasem na zaproszenie Pii, towarzystwo przeszło z salonu do „klasy”. Był to dawny szkolny pokój Pii. Wszyscy się zgadzali, że kolekcja globusów ze zniszczonym tellurum na szafie, krzywo porozwieszane mapy i zielone meandry na białych ścianach przypominają zupełnie klasę szkoły średniej. Wprawdzie ławka szkolna z podnoszonym pulpitem została zepchnięta w kąt, a niedarna tablica na wysokich stalugach wysunięta bardziej na środek pokoju, ale ta zmiana nie psuła nastroju. Przed tablicą stał zamiast katedry, stół pani Freeman, a na wprost niego trzy rzędy krzeseł. Komplet składał się z siedmiu osób. Oprócz pani Drewsowej, Pii, Wiesława i

Gastona studiowali tu jeszcze angielszczyznę dwaj bracia Gaertnerowie, Andrzej i Zbigniew, krzepkie, wyprostowane chłopcy, oraz niejaki Józef Grzywiński, medyk z zawodu. Uczniowie zajęli swoje zwykłe miejsca.

Wiesław siedział sam jeden w ostatnim rzędzie. Teraz dopiero cenił naprawdę korzyść swego osamotnienia, teraz, gdy między nim a panią Gładys Freeman zawisła niewidzialna, zadzierzgnięta od razu lekcji zaledwie, pajęczna sieć utajonego porozumienia. Wyenuło się to wszystko tak jakos samo z siebie, z rzucanych ukradkiem spojrzeń, z nieśmiały, gąsących na samym progu rozchylonych warg uśmiechów, z najcichszych melodii słów, uciekających jak woda. Wiesław dobrze wiedział, że gdyby w tym czasie spróbował podejść panią Freeman jakimś badawczym, nieostrożnym słowem, nie przyznałaby się do niczego. Po prostu: wyparłaby się po trzykroć. A jednak wierzył gorąco w istnienie tych niedostrzegalnych nici, które wiązały go z panią Freeman. Czuł, że się między nimi coś dzierga i rwie, i tka z powrotem, jak płótno Penelopy, i znów rwie, ale przecież dzierga się wciąż, nieuchwytne i wiatle. W sąsiednim pokoju dały się słyszeć jej kroki. Wiesław ściszył w natchnionym oczekiwaniu.

Pani Freeman weszła do pokoju ze zwykłym: „Good evening”, zadowolona od mrozu i łąchnąca świeżym, chłodnym zmęczeniem. — Good evening, Mistress — odpowiedziało chóralnie towarzystwo. Skłoniła im wszystkim słownie głowę, uśmiechając się. Potem, stanawszy za stołem, spojrzawszy przedko spod oka na Wiesława, jakby się chcąc upewnić, że jest.

— Good evening, Gladys! — wyszeptał.

Ale pani Freeman już się odwróciła do tablicy i wzięła w rękę gąbkę.

— What is it? — pytała z uśmiechem.

— It is a sponge! — odprysnęło dumnie towarzystwo.

— Yes! — potwierdziła zadowolona pani Freeman. — And what is it?

— It is a ruler!

— Yes!...

Wiesław nie brał udziału w tej bakalarz. Dla niego lekcja angielskiego była zupełnie czym innym. Rozpoczęła się, jak tenis, grzecznym powitaniem, lecz zaraz potem wbiegała w nieprzejrzaną gąszcz radosnych zasadzek, chytłych podstępów i przebiegłej dyplomatyki miłosnej wobec nauczycielki, pani Gładys Freeman.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

WIESŁAW i GLADYS

— And what is it? — zapytała Angielka, wyciągając poziomo swą lewą rękę.

Biali pokój, jakby urzeczony ślicznym kształtem ramienia pani Freeman, zachłystnął się ciszą.

— It is my left arm! — oznajmiła z powagą i powiodła prawą ręką po swym wyciągniętym ramieniu. Wiesław zadrżał, jak od utajonej pieczyoty. To samo powtórzyło się z prawą ręką, i lekcja potoczyła się zwykłym trybem.

Od tej chwili Wiesław zaczął jeszcze pilniej obserwować panią Freeman. Uświadomił sobie, że dokonał wielkiego odkrycia: zobaczył miarowicie naprawdę po raz pierwszy Gładys! Dotychczas znał ją niezupełnie, powierzchownie i łaczący ze swym doświadczeniem wzrokiem omglony i daleki wizerunek tej niedawno poznanej kobiety. Dopiero w chwili heurystycznej gimnastyki ramion Gładys, zobaczył wyraźnie, po raz pierwszy, ją samą, inną niż wszystkie pozostałe niewiasty. Umiał teraz określić, jak wyglądała i jak jest zbudowana. Jest nieproporcjonalna...

Odkrycie było doniosłe i napędzało go do triumfu. Zaczął analizować. W budowie cielesnej Gładys uderzał go przede wszystkim kontrast śnieżnej jej twarzy i tułowia ze swoistą brzydota „dolu”, jak to określił. Gładys miała płaskie, niezgrabne nogi, którymi poruszała z leniwością, kaczka ociężałością; ta senna indolencja jej nóg miała przeciw sobie jakiś drażniący powab, i Wiesław stawał na ten temat różne zuchwale diagnozy. Zawstydzony się swej perwersji, szybko przeszedł do „góry”, czyli do twarzy, bark i piersi Gładys. Nie mógł się tu nasycić jej urodą. Gładys miała ciemne, o szarym odbłasku włosy, podstrzyżone wysoko na karku, tak że patrząc na nią z profilu, widział się linie jej czoszczki, schodzącą łagodnie do szyi; nadawało jej to urok chłopięctwa (uczniowie niższych klas mają właśnie tak podstrzyżone głowy), i Wiesław czuł oskome w ręce, łakomej dotknięcia ciepłej przełęcz na karku Gładys. Jej regularne i delikatne rysy twarzy zamykały się w wyrazie prostoty i ciszy. I tylko wąskie, szare oczy, ukryte pod niskim czołem, zapalające się niekiedy zimną błyskawicą gniewu i szkarłatny stygmat małych ust, mówiły o wyniosłym sercu i nieugaszonej dumie tej córy wielkiego Albionu.

— Perfectly well! — zawołała pani Freeman, uradowana jak dziecko i omal nie klaszcząc w ręce.

Jej pochwały były mu przyjemne. Uchodził tu za prymusa. Miał wprawdzie groźnego rywala w medyku, ale przyrzekł sobie, że nie ustąpi tamtemu i będzie zawsze pierwszym u pani Gładys Freeman. Spojrzał na nią ciepłym, wymownym wzrokiem. Nie odpowiedziała. Znowu się zaczynało coś rwać. Patrzył na nią długo i cierpliwie, zbierając wszystkie moce duszy do oczu, ale Gładys nadal nie zwracała na niego uwagi, zajęta wypisywaniem słówek na tablicy. Lekcja dobiegała końca. Wreszcie przyszło stereotypowe: „Good bye” z chóralną odpowiedzią — i pani Freeman opuściła pokój, nie spojrzawszy na niego więcej. Wszyst-

— Świetna rasa i stara kultura! — orzekł Wiesław, podziwiając dostojną powściągliwość i chłodny spokój, które emanowały z Gładys, jak osławione mgły Wielkiej Brytanii.

A przecie, kiedy Gładys uśmiechała się ślicznie, albo dziwiła naiwnie, jak dziecko, otwierając szeroko oczy, zatracała od razu wszystkich swą chłodną wyniosłość, i każdy podziwiał w niej wtedy najmielszą sentymentalną Betty, Daisy czy Mary z angielskich różowych pocztówek. Była niewysoka, drobna, i wąskie, okrągłe barki, mo-

cno obciśnięte granatową welwetową sukienką, nadawały jej tym większy urok dziewczęcości. Wiesław zsunął się teraz spojrzeniem z jej bark i piersi wzdłuż bursztynowego sznura, który spadał łaskotliwie szafarowanymi kamyczkami na granatowy welwet, dotykając uczepionym na końcu małym światełkiem bursztynowym delikatnego, ledwie dostrzegalnego pagórka jej brzucha, i wreszcie określił Gładys jako niewiastę o stu procentowej kobiecości. Ale ta skradziona Weiningerowa definicja nie zadowoliła go: wydała mu się banalna. Zamierzał właśnie określić Gładys inaczej, gdy nagle usłyszał, w zakończeniu jakiegoś rzuczonego przez nią pytania, swe nazwisko.

— „Mr. Stec, please! Zrobił wielkie oczy! Uśmiechając się, powtórzyła pytanie.

— What is the thermometer, tell us Mister Stec, please?

Ogarnął szybko rozproszone myśli i powiedział dobitnie:

— The thermometer is the thing which we measure the temperature with.

— Perfectly well! — zawołała pani Freeman, uradowana jak dziecko i omal nie klaszcząc w ręce.

Jej pochwały były mu przyjemne. Uchodził tu za prymusa. Miał wprawdzie groźnego rywala w medyku, ale przyrzekł sobie, że nie ustąpi tamtemu i będzie zawsze pierwszym u pani Gładys Freeman. Spojrzał na nią ciepłym, wymownym wzrokiem. Nie odpowiedziała. Znowu się zaczynało coś rwać. Patrzył na nią długo i cierpliwie, zbierając wszystkie moce duszy do oczu, ale Gładys nadal nie zwracała na niego uwagi, zajęta wypisywaniem słówek na tablicy. Lekcja dobiegała końca. Wreszcie przyszło stereotypowe: „Good bye” z chóralną odpowiedzią — i pani Freeman opuściła pokój, nie spojrzawszy na niego więcej. Wszyst-

ka jego niedawna radość runęła, jak odwal skałny, w przepaść. Domysły o utajonym porozumieniu z panią Freeman wydały się dziecinny złudzeniem. Pożegnał szorstko całe towarzystwo i wyszedł, rozdrażniony, na ulicę. Ogarnęła go głucha desperacja.

Idące nieskończone dni były jednym bolesnym wyczekiwaniem na następną lekcję. Wypadła jakoś przed Sylwestrem. Wiesław, jak zwykle, przyszedł do Werszlerów o kwadrans wcześniej. Nie było jeszcze nikogo. Pia zabawiła go dyskretnie i sumiennie. Siedzieli w małym, wymoszczonym włochatymi dywanami i złoczącą się tapetą saloniku Pii. Wiesław łaskawie pozwał się bawić, odpowiadając monosylabami. Całą jego uwagę odjął cykający w gablocie miniaturowy zegar empire, złośliwy potworek, któremu Wiesław wyrzucał i oszustwo i lenistwo.

— Ciekawam jak też tam z pańskimi studiami? — spytała w pewnej chwili Pia.

— Ależ kończę! Piszę właśnie pracę dyplomową o sternitach.

— Sternity?

— To są ciata gazowe w stanie stałym, proszę pani.

— Aha!... Nie wiedziałam.

Rozmowa utknęła nagle, jak zatrzymany zegar.

Wtedy Pia, w źle zrozumianym obowiązku gościnności i byle tylko o czymś mówić, powiedziała:

— A czy pan wie, że nasza Mistress nie znosi Polaków?

Nie odwracając się, łysnął złym spojrzeniem w jej stronę.

— A skąd pani o tym wie? — spytał obojętnym tonem, wczepiając zarazem kureczowo palec w oporną powłokę brokatu i łapiąc powietrze, jak ryba wyjęta z wody.

— Wszyscy o tym wiedzą! — mówi niedbale Pia — Moja matka...

(Dokończenie w następnym numerze).



MIESZANKA JUGOSŁOWIAŃSKA

Dokończenie ze str. 2

czepano w okresie tuż powojennym. Posucha zdaje się trwać i w powieści — nieomal cała współczesna produkcja prozatorska zatrzymała się w materiale wojennych wspominków. Epos heroicznej partyzantki i wojny narodowej — wywołenczeł uwieźlił widzenie pisarzy i świetne próby np. Davica mogą oznaczać zaledwie introdukcje do tematu Współczesność. Obok renomowanych piór rangi Ivo Andrića czy Miroslava Krležy na teren prozy wkroczył, z oryginalniejszych, Vlado Desnica, moim zdaniem, pisarz wyjątkowo pa-

sjonujący, o subtelnej przenikliwości, o wystronimym słuchu na problematykę intelektualną, czynna i realizująca się nadzieja jugosłowiańskiej prozy. Druga mocna pozycja w prozie jest Ranko Marinković.

Współczesny dramat, podobnie zresztą jak i u nas, stałe w zapowiedziach, i jak dotąd, w nienajszczęśliwszych egzemplarzach. Ranko Ciopić, zapytany w wywiadzie prasowym o najpopularniejszą sztukę współczesną wskazał na sceniczną adaptację... swoich opowiadań partyzanckich — „Przygody Nikołajina Bursacza” — grane z wielkim sukcesem w jednym z teatrów belgradzkich. Wymieniłbym dwa nazwiska dramaturgów

— Miodraga Pavlovića i Marijana Matkovića, nagrodzonego w bież. roku na nowosadzkim festiwalu teatralnym. Obaj reprezentują dramat społeczno — obyczajowy. Miejsce współczesnej dramaturgii w repertuarze teatrów — niezbyt czołowe, co również nasuwa analogie z naszym podwórkiem.

Wskaźnikiem żywotności środowisk twórczych są zawsze wydawane książki i dyskusje, które wywołują. Nie brak, oczywiście, i tu ścierania się sądów i polemik. Istnieje jednak pewien mankament, który w jakimś stopniu utrudnia dochodzenie książek do szerokiego odbiorcy, a w związku z tym i rozchodzenie się kręgów dyskusji. To drożyna książek.

Są bez przesady, luksusem. Wszyscy zdają się wiedzieć o tym, ale kompletowanie prywatnych bibliotek stale pozostaje pobożnym życzeniem. W Jugosławii nie widzi się w sklepach ogonków. Widziałem natomiast jeden, osobliwy, który mnie po raz pierwszy w życiu ucieszył: przed wydawnictwem, kiedy zniono ceny książek. To był bardzo pogodny ogonek i z prawdziwą przyjemnością skorzystałem z tak wdzięcznej okazji.

ST. KASZYŃSKI

odgłosy str. 7



Z POBYTU TEATRU NOWEGO W JUGOSŁAWII

Aktor M. Pawlicki w rozmowie z Turkiem. Jak się porozumiewali? Oczywiście na mię.

Fot. A. Neugebauer

SANKCJE

Władze komunikacyjne w Waszyngtonie zagroziły kilkudziesięciu właścicielom taksówek odebraniem prawa jazdy, o ile w dalszym ciągu nie będą się co dzień regularnie golić.

ZYCZENIE

Jedno z życzeń słuchaczy w koncercie z płyt, nadanym przez BBC w dniu 3 sierpnia, brzmiało: „Dla przypomnienia naszych wakacji w Szkocji prosimy o szlagier „Wróć do Sorrento”.

RADAROWE POMYSŁY

W Düsseldorfie zainstalowano na ulicach sześć aparatów radarowych, które sprawdzają, czy samochody nie przekraczają dozwolonej szybkości 50 km na godz.

SZCZĘŚLIWIEC

Pewien Niemiec, nazwiskiem Herman Peters ma obecnie 102 lata i przeżył już pięć wojen, w żadnej jednak nie brał udziału. Był zawsze na to zbyt młody lub zbyt stary.

LISTY STENDHALA

W Rydze odkryto cztery nie opublikowane dotąd listy Stendhala. Napisane one zostały na polu bitwy pod Smoleńskiem.

GALLUP W JAPONII

Jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez Instytut Gallupa, w Tokio 40 procent młodych ludzi nie chce wstępować w związki małżeńskie z tymi, którzy przeżyli wybuch bomby atomowej. Natomiast 80 procent wszystkich tych nowożeńców, którzy mają za sobą atak atomowy, nie zamierza mieć dzieci.

DEKLARACJA

Nowy minister spraw zagranicznych Portugalii, Marcelo Matias, oświadczył dziennikarzom wkrótce po objęciu swej nowej funkcji: „Znacznie większą treść miałem w dniu ślubu. Łatwiej jest bowiem kierować

polityką zagraniczną republiki, niż zabezpieczyć się od niespodzianek ze strony własnej małżonki”.

DLA PANÓW

Jak donoszą z Berlina, międzynarodowy kongres mody męskiej lansuje barwne stroje dla panów. Zadeklarowano już jasnofioletowy frak, wiśniowy garnitur oraz pomarańczowe spodnie w połączeniu z marynarką koloru piaskowego.

KRYZYS

Kasyna gry na Wybrzeżu Łazurowym przeżywają kryzys nie notowany od wielu już lat. W kasynie „Palm Beach” w Cannes zanotowano deficyt, wynoszący w samym tylko sierpniu ponad 250 tysięcy dolarów. Rzecznik kasyna powiedział: „Dzieła się rzeczy niesamowite. Ludzie wygrywają z każdym dniem więcej”.

SPRYT

Jak doniosła „Sowiecka Rossija”, stwierdzono, iż wiele meżatek przy pomocy oszukańczych kruczków korzysta z zasiłku dla niezdolnych matek. Po prostu — nie rejestrują one swego małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego. W pewnej wiosce w pobliżu Krasnojarska 50 rodzin pobiera dzięki tej oszukańczej sztuczce 5 tysięcy rubli miesięcznie.

MODA EGIPSKA

W Kairze ostatnim krzykiem mody są dywany z wzorunkiem Nassera.



RACJONALIZACJA

Miejskie przedsiębiorstwo autobusowe w Londynie po-

dało na konferencji prasowej do publicznej wiadomości, iż zdecydowano się na eksperyment wobec czerwonych dwupiętrowych autobusów. Przez pół roku tytułem próby 1.300 tych autobusów — jedna piąta taboru przedsiębiorstwa — smarowana będzie nie olejem mineralnym, lecz rycynowym. Doświadczenia wykazały bowiem, że dzięki swej lepszej konsystencji olej rycynowy jest znacznie rentowniejszy.



NOWA SEKCJA

Minister obrony NRF, Strauss, postanowił stworzyć w armii sekcję obrony psychologicznej przed komunizmem. Kierować nią mają dwaj byli hitlerowscy oficerowie, repatriowani niedawno ze Związku Radzieckiego.

NAIWINI

Przed placem dla amerykańskich jeepów w Hamburgu — Niendorf wisi tablica z napisem: „Majatek do oclenia! Wstęp oraz kradzież wzbronione!”

PARADOKS

Aktorka filmowa Anouk Aimee oraz jej kolega Maurice Ponet wezmą wkrótce ślub w Jugosławii, gdzie oboje grają w filmie „Pech w miłości”.

OCENA SINATRY

W roku 1957 zmarła Norma Talmadge (USA), znana gwiazda filmu niemego, po-

zostawiając majątek w wysokości 12 milionów dolarów. Frank Sinatra skomentował fakt ten następująco: „To były czasy! Filmy były nieme, a urzędnicy podatkowi ślepi”.

WALORY

W „Die kluge Hausfrau”, piśmie informacyjnym dla klientów, wydawanym przez hamburskie towarzystwo handlowe „Edeka”, czytamy: „Scienna lampka „Piccola”, jedwabie matowa, ze szkła pozwalającego się czuć, daje piękne, niedyskretnie światło”.

KONKURENCJA

W Kairze stoczyła się niedawno oryginalna batalia pomiędzy przedstawicielami przedsiębiorstw radzieckich i niemieckich. Krupp zaproponował udzielenie rządowi egipskiemu na budowę stoczni w Aleksandrii kredytu dziesięcioletniego. Rosjanie zaś zaoferowali kredyt piętnastoletni.

PECHOWIEC

Amerykański rekordzista spadochronowy, Tom Kirtlev, który w miesiącu skacze po 60 razy i nigdy jeszcze dotąd nie odniósł kontuzji, musiał obecnie odmó-



wić wzięcia udziału w zawodach spadochronowych w Louisville (Kentucky). Przewrócił się bowiem na schodach własnego domu i złamał sobie nogę.



SPOSÓB NA BACHUSA

Pewien duński technik radiowy wynalazł uniwersalny — jego zdaniem — aparat do zwalczania pijactwa wśród kierowców. Składa się on z fotokomórki, lampy infraczerwonej i elektrycznego przekładnika. Jeśli w oddechu kierowcy zawarty jest opar alkoholu, przyrząd ten blokuje motor samochodu.

GDZIE LEŻY BERLIN?

Jeden z drogowców uśmiechniętych na lotnisku w Bonn głosi: „Berlin i kraj” („Berlin und Inland”). Ktoś spośród pasażerów zapytał w związku z tym w administracji lotniska, czy według władz bńskich Berlin nie należy do Niemiec. Pytający nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi.

DOKŁADNY BURMISTRZ

Burmistrz pewnej gminy w stanie Texas (USA) wywiesił na drzwiach swego biura następujące ogłoszenie: „Wyjeżdżam. Mac Norman będzie przyjmował zgłoszenia urodzin, prawa jazdy wydaje Jack Farnbourg, zgony rejestruje Mike Gumpier. Kandydaci do ożenku niech lepiej rozważą swoją decyzję jeszcze przez czternaście dni. Wtedy będą już z powrotem”.

PROTEST

W czasie projekcji filmu „Miłość wśród drzew kaukaskich” w jednym z kin Chicago setki widzów rzuca-

ły w ekran gumę do żucia na znak swego niezadowolenia. Niestety, filmu nie znamy, nie wiemy bliżej o co chodziło.

MUZYKA BULIONA

Bernard Bulion, kompozytor amerykański, stworzył niedawno „Symfonię kosmiczną na instrumenty wszechświata”. Do instrumentów tych należą: „obójsputnik” (wydający kwile-nie), następnie „fagot-explorer” (o dźwięku amerykańskiego sztucznego satelity), oraz „lunafony”, oddające burzę piaskową na Księżycu. Najbardziej jednak imponujące wrażenie czyni „puzon-wszechświat”. Dźwięki tego instrumentu są wręcz niebezpieczne dla beneków w uszach ziemskich słuchaczy.



PODROŻNI PRZED WSZYSTKIM

Na trasie transsyberyjskiej (ZSRR) wprowadzono wagony z gabinetami lekarskimi, dentystycznymi i położniczymi.



WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

TAJEMNICE POEZJI

Oto mamy kolejną pozycję Wydawnictwa Łódzkiego. Zapowiadana już dosyć dawno „Rzecz poetycka — Tworzywo” żółci się na wystawach księgarń. Pierwsza to książka z cyklu redagowanego przez St. Czernikę. Cykl ten — jak głosi wstępne wyjaśnienie — ma być nieperiodyczną „publikacją zastępczą”. Zastępować ma mianowicie nieistniejące, choć potrzebne czasopiśmie poświęcone specjalnie zagadnieniom twórczości poetyckiej. Czasopiśmie takie — jak spodziewa się redakcja „Tworzywa” — może powstać w przyszłości.

Już pobieżny przegląd ogłoszonych wypowiedzi wskazuje na wyjątkowość tego rodzaju edycji na naszym gruncie. Wyjątkowość oczywiście tematyczną, problemową. Choć — badamy ostrożnie!

St. Czernik w okresie dwudziestolecia międzywojennego kontynuował w swym miesięczniku „Okolica Poetów” cykl — ankiety na temat: Jak

powstaje wiersz? Ostatnio M. Jastrun drukował w różnych czasopiśmie fragmenty swych rozważań na temat spraw poezji. I tutaj uwaga: w „Tworzywie” brak jego nazwiska, jak również brak nazwiska wielu innych poetów polskich. Sprawa to dosyć charakterystyczna i zastanawiająca. Czyżby aż tak straszyl upiór łódzkiej prowincji kulturalnej?

Ale do rzeczy. Dziewiętnaście nazwisk reprezentowanych w „Tworzywie”, to znaczna skala talentów, możliwości, realizacji, koncepcji itd. Zapewne niełatwo i może nawet nie warto polemizować z poetą na temat tego, jak on pisze wiersze. Wypowiedzi poetów w „Tworzywie” nie zawsze zresztą rozwiązują ten esztywny problem psychologii aktu twórczego. Na ogół jednak poeci dążyli śmiało i szczerze posługiwać się metodą introspekcji. Trzeba tu zaznaczyć, że „Tworzywo” przedrukowuje wypowiedzi dwóch nie żyjących już poetów: J. Czechowicza i I. Fika, jak również fragment wstępu do przekładu Odyssei dokonanego przez J. Wittlina. Autorem wstępu jest oczywiście sam tłumacz.

Czy wypowiedzi poetów żyjących odzwierciedlają w ja-

kis sposób sytuację w poezji polskiej? Chyba tylko minimalnie. Jakże więc znaczenie może mieć tego rodzaju publikacja? Dla krytyki poezji czy monografii dosyć znaczne, dla przeciętnego czytelnika raczej niewielkie. Stwarzanie zasad w sprawach poezji jest rzeczą niebezpieczną. Zasady obowiązują w sporcie, Słusznie w swojej wypowiedzi pisał M. Piechał: „Boc-wiem to, co jest istotne, a więc niezwykle w przeżyciu twórczym, jest też poza ogólnie przyjętą i zrozumiałą normą, gdyż jest faktem jedynym i niepowtarzalnym, związanym organicznie z jedną i niepowtarzalną osobowością twórcy”. Jan Spławak w swym-jej wypowiedzi „Pracowite zdziwienie” stawia zagadnienie w ten sposób: „Jak powstaje wiersz? Jak tworzy poeta? Jak powstają pomysły? Czy poeta zbiera materiał literacki do swego utworu i jak z niego korzysta? Dlaczego są okresy, gdy wiersze przychodzą same? Dlaczego później przychodzi okresy jałowe? Od czego, to wszystko zależy? Te pytania właściwie muszą pozostać bez odpowiedzi”.

Poezi jednak, w kwestii tego jak się tworzy, przynajmniej w schematach zasad-

niczych, na ogół zgadzają się i dochodzą do podobnych wniosków poznawczych. Nie można mieć o to do nich pretensji, ani też nie można się tym przeżać.

Choć „różnie to bywa” — jak pisał J. M. Giggas — bywa na ogół podobnie. Nadmieniamy tylko, że I. Fik pokusił się o możliwie przejrzyste usystematyzowanie zjawisk, dotyczących psychologii twórczości. J. Przybysz — poeta o wyjątkowo wykształconej samokontroli twórczej, ogłosił w „Tworzywie” „Zapiski bez daty”. To raczej jakies poematy prozą, dotyczące twórczości poetyckiej. Zapewne bardzo interesujące, bardzo dynamiczne, bardzo uparte i bardzo autorytatywne (trzeba ciłomami rozłożyć kolejno: Lucassia, naszych poezujących krytyków marksistowskich i Miłosza).

Uważam, że w „Tworzywie” najciekawsze, choć niekoniecznie każdego interesujące są marginesy, wypowiedzi z pozoru uboczne i o innych traktujące zagadnieniach, aniżeli problem powstawania wiersza. Przy tym jednak zaznaczyć wypada, że wiele z zamieszczonych wypowiedzi nie odkrywa „nowych ładów”. Są i takie, które powtarzają rzeczy znane — „przewalkowane” już nawet w 20-leciu międzywojennym. Uhlarchizowanie wszystkich wypowiedzi byłoby czymś bezcelowym. Każda z nich wyraża, chce nie chcąc, koncepcję poezji jej autora.

Można stwierdzić, że prawie wszyscy poeci uważają,

że o odrębności poezji, jej obliczu indywidualnym decyduje — użyjmy tutaj tego dosyć starego, w estetyce pojęcia — treść wewnętrzna. Sprawy techniczno-warsztatowe związane z formą poezji znajdują się w „Tworzywie” raczej na drugim planie; zyskują one charakter marginesowy, niepełny nawet przy rozpatrywaniu problemów szczegółowych. Nie ma więc w „Tworzywie” próby głębszego postawienia takich spraw, jak obraz poetycki, problem symbolu, metafory, stosunku do tradycji rodzimej i obcej itd. Owszem, dotknięto tu i ówdzie sprawy rymu, białego wiersza etc., nieczęsto jednak wychodząc poza sferę znanych opinii i sformułowań. Nie ma w „Tworzywie” żadnej próby, zajrzenia na obce podwórkę. Dlatego też „Tworzywo” pozostaje właściwie w nijakim stosunku do zagadnień, szczególnie zachodnich osiągnięć. A tam m. in. w r. 1937 ukazała się (w r. 1950 wydana po raz czwarty) interesująca książka młodego, marksistowskiego krytyka i pisarza Christophera Caudwella pt. „Złuczenie i rzeczywistość — studium o źródłach poezji” („Illusion and Reality, a study of the sources of poetry”). Są w tej książce rozdziały traktujące także o psychologicznych stronach zagadnienia. Autorzy dwóch najdłuższych esejów w „Tworzywie” tj. W. Bak i St. Czernik odmiennie postawili sobie zadania. W. Bak zatytułował swoją rozprawę „Zagadnienia poetyckie”; St.

Czernik zaś „Poszukiwanie rodowodu”. W. Bak zastanawia się nad tego poezji — jej intymnością oraz językiem poezji. Dużo w jego szkicu szlachetnego, czystego tonu. Zdaje się jednak, że poeta przecenia znaczenie muzycznych walorów wiersza.

St. Czernik nie uderza w surmy wzrusłości, ani nie zaczyna w tonacji exekel monumentum... Szkic jego ma próbować także rozwiązać wszystkie trudnych zagadnień związanych z poezją. Jako próba dotarcia do najgłębszych, najistotniejszych źródeł własnej poezji jest jednak na pewno zjawiskiem ciekawym w grupie innych wypowiedzi. Reasumując, chciałbym zauważyć, że pierwszy zeszyt — „Rzecz poetycka” jeśli tak wolno nazwać „Tworzywo” — raczej rozczarowuje. Wpływa na to przede wszystkim fakt, że poeci za dużo piszą o sobie. Zbyt mało jest w „Tworzywie” prób dyskusji, polemiki, spojrzenia panoramicznego. To wszystko sprawia, że książka ta staje się częściowo świadectwem jakiegoś swoistego regresu, niecałej na szczęście naszej poezji.

Nie będąc obrazem sytuacji w naszej współczesnej poezji, jest przecież „Rzecz poetycka” edycja cenna i zasługująca na kontynuację. Obv tylko poeci zapracentowali się w szerszym gronie, z większą pasją krytyczną w stosunku do polskiej zjawisk poetyckich, obcej poezji, jak również polskiej i obcej myśli krytycznej.

- 73 -



Przerażony Safronow, a i my również, staliśmy jak skamieniały i bez ruchu wpatrywaliśmy się w tę łapę.

— Niech trupem padnę na miejscu! — wrzasnął Mikołaj. — Patrzcie, co to za łapa?! Przecież to ze spót rur i rurek! Ludzie! Ratunku!

Rzuciliśmy się wszyscy na kolana i zaczęliśmy pszczołę obmacywać i badać.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości — nie tylko teraz nie była żywa, ale w ogóle nigdy nie była żywa. Składała się z wielkiej ilości niezwykle precyzyjnie połączonych części — przeważnie półprzewodników i tranzystorów. Zaczęliśmy ją z gorączkowym pośpiechem rozbiierać i rozkręcać. Po chwili zamiast pszczoły leżała przed nami kupa różnych części metalowych, plastikowych, jakichś kaucuków i jedwabnych nici. Były to izolacje, uzwojenia, podkładki, soczewki i rurki; a samych łusek ze złota pewnie z pół kilograma.

Cóż to jest? Czy wszyscy Marsjanie są tacy sami? Czy może tylko pewna ich część? Przecież odkryte w grobowcach pszczoły były organizmami, a te są najwidoczniej maszynami, robotami!

Oto więc była jeszcze jedna niepoznana tajemnica Marsa. Kto produkuje te automaty i po co?

Wykopaliliśmy się szybko w cudownej, miękkiej, odświeżającej wodzie. Każdy według własnego upodobania wybrał sobie szaty i sandały w tym lub innym kolorze. Ubraliśmy się szybko i oczekiwaliśmy z pewnym niepokojem, co dalej będzie.

Wtem weszła nowa pszczoła niosąc pęk wspaniałych, purpurowych kwiatów. Rzuciła wzrokiem na stos części, które jednak trudno było nazwać zwłokami jej koleżanki, wypuściła kwiaty z łap, usiadła na odwłoku opierając się dwiema tylnymi łapami o posadzkę, podniosła górne łapy do góry i wydała dość długi, bardzo cieniutki gwizd. Po chwili wbiegło ze dwadzieścia pszczoł — wyglądały na zdenerwowane — każda z nich chwyciła trochę części po „rozmontowanej” siostrzyczce i szybko wybiegła, natomiast pszczoła „od ręczników i prześcieradeł” została. Podchodziliśmy do niej i uważnie ją oglądaliśmy. Nie było wątpliwości — również była sztuczna.

Siedzieliśmy w naszej sali jadalnej przy delikatnie świecącym zielonkawym stole.

— Bardzo się cieszę — mówiła profesor Latona — że mogę z kolegami porozmawiać otwarcie. Otrzymałam na to zezwolenie od królowej. W przeciwnym razie rzeczywiście trudno by mi było wyjaśnić tajemnicę biednej pszczołki — uśmiechnęła się kłapiąc zębami, a jej stara twarz pokryła się siecią zmarszczek.

— Możecie mi również zadawać pytania. Jako człowiek, rozumiem, że wasza żądza wiedzy jest nigdy nienasycona, a ogień ciekawości naukowej dopieka wam do żywego. Otóż przede wszystkim trochę historii Marsa.

Latona mówiła teraz śmieiej i składniej niż przed obiadem. Twarz miała wesołą i bardziej życzliwą, ale mimo wszystko nie umiała się pozbyć pewnych złościwości pod adresem ludzi.

— Nie będę powtarzała rzeczy dobrze wszystkim znanych — rozpoczęła. — Historia Ziemi i Marsa jest o tyle wspólna, że obie planety pochodzą od Słońca — poza tym wszystkim jest inna i niepodobna. Mars — mniejszy, od Słońca dalej położony, chłodniejszy i gorzej oświetlony, rozwijał się szybko i inaczej. Nie było tu nigdy dużo wody ani tlenu; roślin chlorofilowych było mało, a i te w późniejszych czasach wyginęły, tak że nie było źródła ciągłej odnowy tlenu. Nie było również ciepłych mórz, w których mogłoby powstać życie organiczne podobne do ziemskiego. Tu była tylko obfitość form roślinnych — miękkich drzew widłakowych, bujnych roślin paprociowych, kwiatów nektarowych i pachnących. W tych sprzyjających warunkach pojawiło się dużo owadów, z których najwyższą stała pszczoła. Początkowo była ona podobna do pszczoły ziemskiej, wytworzyła podobne formy życia społecznego, jednak przyroda nie popieściła tutaj kardynalnego błędu, który został popełniony na Ziemi. Pszczoły nie utraciły swej płci na rzecz dobra ogółu. Potężny motor rozwojowy nie został zatrzymany. Pszczoły nie wyrzekły się mimo to swego trybu życia społecznego — żyły w dużych oddzielnych formacjach i każda z takich formacji posiadała swoją królową, która zarządzała życiem da-

- 74 -



nego zespołu, ale nie była jedyną dostarczycielką jajek. Pewną ilość jajek mogła złożyć każda pszczoła-samica żyjąca w tym zespole. Tak więc pszczoły podzieliły się jak gdyby na wielką ilość samców i samic, które połączyły się w dwójki małżeńskie. Samce trutnie pracowały na równi z samicami-robotnicami. Królowa odbywała swój lot weselny i wchodziła w stosunek małżeński z najdzielniejszym z trutni, który następnie ginał. Z jajeczka królowej mogła powstać tylko nowa królowa. Jak widzicie, było to coś w rodzaju absolutnej monarchii dziedzicznej, gdyż królowa miała bardzo wielkie uprawnienia — była panią życia i śmierci całego takiego zespołu-roju. Liczne roje pszczoły żyły ze sobą w zgodzie. Pszczoły z różnych rojów miały prawo wchodzić w związki małżeńskie. Roje stopniowo łączyły się ze sobą, kultura stawała się wspólna, królowych było coraz mniej, aż wreszcie całym tym państwem zaczęła zarządzać jedna królowa. Z upływem czasu zmieniały się różne formy — królowe nie odbywały już lotów weselnych, tylko same sobie dobierały na mężów jednego lub kilku trutniów, które za łaskę takiego wyboru musiały płacić własnym życiem.

— Tak to więc było — mówiła dalej Latona — że wytworzywszy formy życia społecznego, pszczoły marsjańskie nie zatrzymały się w rozwoju, jak to zdarzyło się na Ziemi, lecz poszły naprzód i dość szybko stworzyły oryginalną i bardzo wysoką kulturę materialną i techniczną.

W miarę rozwoju ich inteligencji — mózg ich rozrastał się, a ciało słabło. Wszelka brutalna walka o byt stawała się im zupełnie obca. Wyliczyli doskonale stosunek między ilością ludności, a ilością pożywienia. Rozródność była ściśle regulowana i tylko tyle mogło przychodzić na świat nowych pszczoł, ile było środków do żywienia.

Z czasem pszczoły zrezygnowały zupełnie z pracy fizycznej, zaczęły je cechować wielkie lenistwo fizyczne i wygodnictwo życiowe. W istocie nienawidziły jakiegokolwiek pracy i wysiłku fizycznego, natomiast ubóstwiałały wszelkie działania myślowe, przede wszystkim lubiły rozumowanie logiczne i matematyczne, wszelkie dowodzenia, argumentowanie, rozwiązywanie. Ich wiedza matematyczna okazała się olbrzymia — może największa we Wszechświecie. Bardzo szybko zorientowały się, że pracę fizyczną, która im przeszkadzała w myśleniu, muszą na kogoś zważyć. Nasza stara Ziemia miała doskonałą instytucję w postaci niewolników — uśmiechnęła się ironicznie — natomiast tu żadnych niewolników nie było, a jakoś im nie przyszło na myśl, że przecież jedne pszczoły mogłyby z powodzeniem ciemiężyć i wyzyskiwać inne pszczoły. Do tego nie doszło, ale inteligentne owady zaczęły doskonalić swoje najrozszałtsze maszyny, przede wszystkim elektryczne, aby na nie przerzucić ciężar wszelkiej pracy. Niebawem powstały roboty, o jakich my nie mamy pojęcia. Znakomite. Doskonałe.

— My, ludzie — mówiła dalej — nie wyszliśmy jeszcze z okresu wyjść ogoniastych, jeszcze nawet nie doszliśmy do rozbijania łbów maczugą i podsmażania swoich złomków na wolnym ogniu — gdy mądre i leniwe pszczoły już leżały sobie do góry brzuchami, okryte w złoto i brylanty, które bardzo lubiły; zapadały chałwą i rachlatkami z miodu i grzybów; zapijały te przysmarki starym winem z miodu — i rozmyślały.

Wiedza matematyczna i elektryczna, sprzęgnięte razem w ich genialnych głowach, dawały doskonałe rezultaty — ich roboty stawały się również genialne. Tak więc pszczoły marsjańskie spijały śmietankę życia — odpoczywały, dysputowały, spędzały czas w najpiękniejszych marsjańskich miejscowościach, co dzień ulepszały swoje życie, stwarzały sobie coraz to nowe wygodę i przyjemności, czytały swoje szybkie, ultradźwiękowe ksjażki, rozwijały teatr, muzykę, plastykę, pisały piękne wiersze, stroili się w drogocenne kamienie i złote sukienki, oddawały miłość, hodowały piękne kwiaty, przede wszystkim jednak konstruowały i rozwijały zadania matematyczne — a miliony robotów pracowały na nie „w pocie czoła”. Robotom tym płęć nie przeszkadzała, albowiem były bezpłciowe. Tu się zrealizowała najwyższa zasada społeczeństwa pszczołowego — bezpłciowe robotnice-automaty.

Pszczoły te były z jednej strony zbyt mądre i łagodne, a z drugiej — zbyt leniwe, aby się wzajemnie mordować, jak to zawsze czynili ludzie. Ziemia

- 75 -



je niezwykle interesowała i dużo o niej wiedziała, ale nie przedsięwzięła żadnych wypraw (choć mogły to uczynić) z różnych powodów: bo to zbyt daleko, bo były leniwe i ludzie je przerażali. Nie miały w sobie ani odrobiny instynktów zaborczych i nie przyszła im nigdy do głowy myśl o podboju.

Tymczasem rozwój robotów osiągnął niebywały poziom. Dzieliły się one na kilka kategorii: na czele tej hierarchii stały tak zwane senheny — były to już mechanizmy bardzo inteligentne, zdolne do samodzielnego myślenia i indywidualnych czynów. One to projektowały nowe typy robotów, wprowadzały różne ulepszenia, zajmowały się planowaniem i organizacją pracy. Druga grupa to admany — naszym językiem mówiąc — cała inteligencja techniczna: inżynierowie, administratorzy, dozorczy, kontrolerzy. Wreszcie trzecia grupa — to roboty, które wykonywały wszelkie prace fizyczne i część pracy umysłowej.

Senheny, a było ich około stu — umysły na wzór swoich twórców matematyczne, ścisłe i logiczne — obliczyły któregoś dnia swoje siły; stwierdziły, że panowanie pszczoł już im zbrzydło i że już wielki czas, aby same zaczęły rządzić. Wydały więc odpowiednie zarządzenia admanom i robotom — i wyrzuciły wszystkie, zresztą zupełnie bezbronne, pszczoły. Ze względów naukowych i muzealnych pozostały tylko drobna kolonia — jeden rój.

Stare roboty sprzed miliona lat nie miały kształtów pszczoł. Tworzone przez matematyków, miały kształt różnych figur geometrycznych. Po rewolucji zaczęły się wstydzić swego wyglądu i przejęły ściśle wygląd pszczoł. Zresztą nie tylko kształty — przejęły one również obyczaje, wiedzę, kulturę i sztukę dawnych pszczoł.

Roboty marsjańskie kategorii robotniczej nie miały woli, nie wykazywały inicjatywy, nie przejawiały wyższych dążeń, ale były zdolne do wykonywania wielu najbardziej trudnych i skomplikowanych prac fizycznych oraz działań matematycznych. Natomiast wyższa kategoria — admany — mogły doskonale prowadzić produkcję i zarządzać robotami.

Najwyższa kategoria — senheny, które w swoim czasie dokonały rewolucji, umiały, jak wspominałam, myśleć samodzielnie. Posiadały znakomitą pamięć, o jakiej pojęcia nie mogą mieć żywe istoty, umiały rozumować, porównywać, wydawać sądy. Ich myśl nie była jednak tym samym co myśl ludzka. Nie było w ich myślach przede wszystkim żadnych pierwiastków uczuciowych. W ich elektrycznych mózgach istniała tylko czysta myśl matematyczna i wynikająca z niej myśl techniczna, istniały wszelkie wzory, równania oraz ich niezliczone kombinacje. Była to więc grupa doskonałych matematyków i techników... i poza tym — nic więcej, przynajmniej w naszym ludzkim rozumieniu.

W tym wszystkim jednak było dużo cech wspólnych z organizmami żywymi, albowiem zasady były te same, to znaczy ich układy sterujące ze względu na pełnione funkcje można było podzielić podobnie jak w żywych organizmach — na regulatory i układy śledzące. Mówiąc dalej językiem technicznym, ich system sprzężeń zwrotnych, regulacja ciągła i impulsywna, regulacja astatyczna i z dekrementem tłumienia, proporcjonalna, z wyprzedzeniem i izodromowa oraz buforowa — przypominały centralny system nerwowy i czynność żywego mózgu. Ich sprzężenia zwrotne mają coś wspólnego w procesach tworzenia i wygasania z naszymi odruchami warunkowymi. Tak więc ci władcy elektryczności doskonale rozwiązyali wszystkie zagadnienia, że tak powiem, „duchowe”, natomiast z „materialnymi” jako świetni technicy i mechanicy w ogóle nie mieli trudności. Stworzyć taki czy inny kształt, nadać mu taki czy inny wygląd, uruchomić i przystosować do warunków zewnętrznych, to była fraszka.

Przejmując całą kulturę i całego, że tak powiem, „ducha” dawnych, żywych pszczoł, roboty te przejęły również ich głębokie zainteresowanie Ziemią i rodzajem ludzkim.

Otóż musicie wiedzieć, że grupa, a raczej kasta superrobotów — senhenów i admanów — nie jest zadowolona ze swego losu. Chce być żywą materią, „organizmami”; od wieków czyni w tym kierunku wielkie wysiłki.

(D. c. n.)

JAK WOJEWODZINA FIRLEJOWA ZE ŚWIĘTAMI TANCOWAŁA...

W nr 11 „Odgłosów”, w felietonie pt. „Noc jezuitów” Władysław Rymkiewicz podał szereg wstrząsających faktów z okresu zwanego przez historyków „kontreformacją” lub „reakcją katolicką”. Fakty te, związane z dziejami ciemnoty i fanatyzmu w Polsce, dotyczą wystąpienia motłochu miejskiego w różnych okolicach Polski, który — z inspiracji podżegaczy i awanturników — dopuszczał się gwałtów na innowiercach, palił i grabił ich świątynie, bezceńcił cmentarze i ciała umarłych — itp.

Ale ciemnota i jej najbliższy krewny — fanatyzm nie zawsze znaczą swoje ślady bezceństwem i zbrodnią. Zdarza się niekiedy, że przejawy zaciętego umysłu ludzkiego przybierają wyraz groteskowy, śmieszny, po prostu błazeński, budzący i podziw, i politowanie. Takie oblicze ciemnoty jest, oczywiście, ze społecznego punktu widzenia mniej groźne i niebezpieczne, nie znaczy jednak, by nie kompromitowało w najwyższym stopniu osób i środowisk dotkniętych umysłową ślepotą.

W bardzo cennym dziełku księdza HUGONA KOLLATAJA — „STAN OŚWIECENIA W POLSCE W OSTATNICH LATACH PANOWANIA AUGUSTA III” znajdujemy fragment (w niektórych wydaniach celowo opuszczany), będący jaskrawą ilustracją takiego właśnie groteskowego oblicza ciemnoty, na której zeruje zwykłe chęć przemyślnych spryciarzy.

Oto co pisze ks. Kollataj o „balu u wojewodziny Firlejowej” (podaje tekst z niewielkimi skrótami):

„Firlejowa była panią całego hrabstwa Tenczyńskiego, mieszkała w Tenczyńcu, w zamku o trzy mile od Krakowa odległym (...). Jezuiti opanowali tę słabą duszę; Firlejowa pierwsi im oddała swoje sumienie, potem swoje majątki i dochody; odoświeblona od całej społeczności żyła tylko ze swoim

ojcem duchownym, jezuitą lub innymi osobami, które on chciał przypuścić; był już od tego wyznaczony jezuita, który pilnował zwozu przy zamku Tenczyńskim; nikomu tam nie było wolno przystąpić, póki nie zdał sprawy dozorca; wszystkie rzeczy i interesy doczesne załatwiał inny jezuita, który był komisarzem w dobrach; Firlejowa myślała tylko o rzeczach niebieskich, dziękując jezuitom, że przyjeżdżali na siebie ciężar zatrudniać się marnością tego świata; ojciec duchowny utrzymywał ją zawsze w tej nadziei, że prowadząc podobne życie przyjdzie na koniec do tak szczęśliwego stanu, że będzie miała wizję niebieskie i obcowanie ze świętymi”.

„Jakoż w samej rzeczy przyszło do tego, że Firlejowa rozumiała obecność św. Alojzjusz i św. Stanisława Kostki; byli to nowicjusze od św. Macieja, których czasem posyłano do Tenczyńca, aby się w owy sposób pobożnej objawiali dewotce. Wzięte do bardzo się podobaly Firlejowej, świeci do takiej przyszłości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu; nierzadko dała się słyszeć niebieska muzyka, nieraz pobożna Firlejowa tańczyła ze św. Alojzjusz lub św. Stanisławem Kostką; ojciec duchowny do tego stopnia utwierdził ją w tej wierze, iż pewna była, że te wszystkie niebieskie słodycze były nagrodą jej nabożeństwa i oddania się od świata”.

Mimo najbaczniejszego jezuitów dozorowania rozchodziły się przecieć wieści o życiu Firlejowej, żywo pogrzebanej w zamku Tenczyńskim; daremnie szemrała familia, daremnie narzekali dawni studzy, nikt nie mógł przeszkodzić kredytowi jezuitów (...)

Lecz mimo wszelkich środków ostrożności przedsięwziętych przez „opiekunów” bogatej wojewodziny, pewien roztropny i przebiegły laik od karmelitów bo-

skich (laik to zakonnik nie mający jeszcze świecenia — przyp. B. D.) zdołał przecieć — opowiada Kollataj — wśliznąć się kilkakrotnie, pod pozorem kwesty, do zamku Firlejowej, co pozwoliło mu dokładnie rozjechać się w sytuacji. „Doniosł — czytamy dalej — o tym wszystkim familii i zwierchności duchownej (...). Pierwszy raz dowiedziawszy się w Krakowie o scenach, które jezuiti wyrabiali w Tenczyńcu. Nie można się było wzięć do żadnych gwałtownych środków, choź albo wbrew familii o to, aby bogatej nie rozgniewać dziedziczki, która mogła być majątek allepować (czyli oddać w obce ręce — przyp. B. D.). Laik podjął się przez błędnostwo i trzeźwość jezuitów z Tenczyńca wykuczyć”.

„Wiedział on, którego dnia odprawia się zwykła niebieska na Tenczyńcu biesiada; kazał sobie zrobić dwa wielkie klucze i one pozłocić; kazał sobie przygotować domino, które by go w szrogu oddało podobnym św. Piotrowi, wziął ze sobą kursora (woźnego — przyp. B. D.) konsystorskiego na świadectwo, żeby potem jezuiti nie zaparli wszystkiego, co się działo. Zjechał wedle swego zwyczaju wieczorem i udał się prosto do księdza komisarza, prosiąc o jałmużnę i przenocowanie (...). Laik napisał się do niego wina dla nabrania śmiałości i dobrego humoru i spokojnie czekał, aż po długich modlitwach Firlejowej zastąpił na ziemię niebiescy goście i zaczęła się w zamku duchowna biesiada (...). Trwała w późną noc wspaniała kolacja, ku północy dały się słyszeć śpiewania i niebieska muzyka, zaczęły się tańce. Firlejowa poszła w pierwszą parę ze św. Stanisławem Kostką, dalej ojciec duchowny z pannami”.

„J. W. Pani i nlebywała kompania w najlepszym znajdowała się humorze, gdy dało się słyszeć brzęczenie i

stukanie drzwiami po odległych pokojach; zbliżał się coraz bardziej głos i stukanie, które swa nadzwyczajnością przysposobiło do bojaźni całą kompanię; nareszcie ukazał się św. Piotr, jako go zazwyczaj malują: lśny, w niebieskiej sukni i z wielkimi kluczami”.

I tu następuje kulminacyjny punkt tej niezwykłej historii: „Firlejowa zmieszana się na widok św. Piotra, który dopadłszy mniemano go św. Stanisława Kostki, obkładał go bez litości kluczami, narzekając, że dla jego zabaw nie może być tak długo trzymać pięt, tym, aż wreszcie biedny nowicjusz zaczął płakać; wtemczas karmelita oświadczył mu, że go oty bje będzie, póki się nie przyzna przed ta pobożną duszą, która tak zwodził, kim jest w samej rzeczy. Nie trzeba było długo nad nowicjuszem pracować, wyznał swoje przewinienie, powiedział jak się zowie, zgolił odkrył całą scenę z zawstydzieniem wszystkich przytomnych jezuitów (...). Wtemczas laik karmelicki rzekł do nowicjusza jezuitę: kiedy ty przestałeś być św. Stanisławem Kostką, i ja przestane być św. Piotrem, i opowiem wszystkim J. W. Pani, kto jestem i dlaczego osobi św. Piotra na siebie przybrałem. Jestem laik karmelicki, dostałem się do zamku za kwestą; narzekania służących nauczyły mnie, co za dziwactwa jezuiti z J. W. Pani robią; widziałem, że nie tylko nadzwyczajnie dobrze pańskie, ale nawet czynią zgorszenie fałszywymi cudami. Już się to za zamek daleko rozeszło, że nowicjusze jezuitcy udają świętych pańskich i zwodzą J. W. Pani, z czego się cały świat nasmiewa (...). Słuchała z cierpliwością tej mowy Firlejowa, spoglądając na zawstydzonych jezuitów, a obrażona tak długim swym osobym igrzyskiem, tej samej nocy wszystkich jezuitów do Krakowa odesłała; laika karmelickiego osadziła w apartamencie komisarza,

sprowadzono paru karmelitów, którzy zastąpili miejsce ojców duchownych. Firlejowa jednak z zamku swego więcej nie wyjeżdżała, ze swymi krewnymi widzieć się nie chciała, przepędziła resztę życia z karmelitami; wystawiła dla nich wspaniały klasztor w lesie na Czarniej, opatrzyła go bogatym funduszem i w tym nowym kościele pogrzała się kazała”.

Tyle ksiądz Kollataj... Oczywiście, Boccaccio albo Aretino opisałby tę przepyszną historię w sposób bardziej żywy i dynamiczny. Ale pod względem rzeczowości i dokładności szczegółów obrazu nie możemy mieć Kollatajowi nic do zarzucenia.

W ciągu dwustu lat, jakie upłynęły od czasu balów pani Firlejowej ze świętymi, wiele, bardzo wiele się w Polsce zmieniło. Nie ma już feudalnych zamków, nie ma bogatych wojewodzina, a oszustom i wydrwigrosom niełatwo jest bezkarnie czerpać zyski z ludzkiej głupoty i naiwności. Nie znaczy to jednak, niestety, by ciemnota i łatwowierność zostały wytrzebione do cna z pięknej ziemi polskiej, by nie dawały one nieraz jeszcze znać o sobie. Od czasu do czasu dochodzą nas przecieć ponure i zatrważające wieści z jakiegoś Żuromina czy Rzeszowa, anonimowi błądzący rozpowszechniają po wsiach i miastach polskich rozmaite „ludnie” św. Antoniego” na głuchej prowincji ludzkiego ducha i awolodnej myśli są wciąż jeszcze szczyt i szczykowania przez zjadliwych ciemnogrodzian i wielu jest u nas takich, którzy bardziej ufają „skuteczności” gusiel, zabobonów i różnych praktyk najwulgarniejszego szamanstwa, niż — piorunochronom, antybiotykom i szerepieniom ochronnym.

Nie wolno jednak bezradnie opuszczać rąk i pozostawiać tych spraw własnemu „biegowi”. Uparcie i wytrwałość trzeba karczować mroczną dżunglę fanatyzmu i nietolerancji. Nigdy bowiem nie zdołamy doścignąć i prześcignąć innych narodów pod względem kulturalnym, a więc i pod każdym innym, nigdy nie uda nam się zbudować ustroju, opartego na zasadach prawdziwej wolności i sprawiedliwości społecznej, jeśli nie będziemy żyć, myśleć i działać RACJONALNIE, to znaczy — w zgodzie z rozumem i wiedzą, a nie z tym, co jest ich krótkowym przeciwnym.

Saul

Przyznam, że z wielką treścią przystępuję do przedstawienia czytelnikom „Odgłosów” najwybitniejszego karykaturzysty naszych czasów, Saula Steinberga. To rysownik, który zasługuje na książkę (bardzo prawdopodobnie, że ktoś taką książkę już pisze) — a nie na krótki felieton. Ten młody jeszcze, bo liczący zaledwie 44 lata artysta stworzył nową epokę w karykaturze i żarcie rysunkowym...

Na początek garść informacji. Steinberg urodził się w Rumunii. Początkowo studiował filozofię na uniwersytecie bukareszteńskim, wkrótce jednak wyjechał do Włoch, gdzie wstąpił do Wydziału Architektury w Mediolanie.

O tym „włoskim” okresie wiemy stosunkowo niewiele. Steinberg związał się w Mediolanie z postępowymi ugrupowaniami młodzieży artystycznej — i jednocześnie zadebiutował jako humorysta. Drukował sporo, lecz choć rysunki zdradzały już znamiona wielkiego talentu, nie przyniosły mu rozgłosu (wybór najciekawszych „włoskich” prac Steinberga opublikował w 1951 r. magazyn „Colliers”).

Po wybuchu wojny artysta przedostał się do Stanów Zjednoczonych. Jako korespondent wojenny w szeregach armii USA rozpoczyna wędrowkę po świecie.

Odtąd rozpoczyna się efektywna kariera Steinberga. Drukowane początkowo w prasie codziennej znakomite reportaże rysunkowe mają szalone powodzenie, najbardziej szacowne magazyny, w tej liczbie i „New Yorker” — zapraszają go do współpracy.

Dzisiaj już nikt nie wie, kto odkrył gatunek żartu rysunkowego bez słów. Jedno jest pewne: pojawienie tylu dowcipów zbiega się z chwilą pozyskania Steinberga dla „New Yorkera”.

Okaże się szybko, że żart bez słów, obok reportażu, będzie dla Steinberga ulubioną formą wypowiedzi. Rysuje coraz więcej dowcipów — i prędko staje się niedoścignionym mistrzem tego gatunku. Mistrzem — i wzorem dla wielu naśladowców (których nie brak i w Polsce)...

Trasa wędrowek Steinberga wiodła w czasie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu — przez Włochy, Chiny, Indie i Bliski Wschód. Rezultatem podróży są setki szkiców reporterskich. Najlepsza część tego dorobku weszła w skład pierwszego tomu rysunków — „All in line” (Nowy Jork, 1945).

Ta książka ugruntowała sławę rysownika. O współpracy Steinberga zabiegają najzamożniejsze magazyny ilustrowane. Steinberg pozostaje jednak wierny prasie, wydawanej przez koncern braci Harper — w tej liczbie i „New Yorkerowi”, który ma zawsze prawo pierwotnego druku prac humorysty. Staranny selekcjoner swoich pomysłów, artysta publikuje stosunkowo niewiele rysunków tygodniowo.

W 1949 roku ukazuje się następny tom żartów, „The Art of Living”, w 5 lat później „The Passport”. W 1956 roku Steinberg odwiedza Europę, między innymi Związek Radziecki. Tam powstaje kapitalny reportaż rysunkowy o Moskwie.

J. W.

(Za tydzień: nowe rysunki Steinberga i dokończenie felietonu).

NASZA KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Drewniany, dęty instrument muzyczny, 5) Drapieżnik afrykański, 6) Powódź, 9) Liczba, 10) Bogini zła i występku, 11) Zwierzę w paski, 12) Ozdobna kolumna korynckich, 14) Gospodarz w górach, 17) Piwo angielskie, 18) Napój z trzciny cukrowej, 19) Poeta polski, 20) Grzyb, 22) Liczba, 23) Rodzaj rozrywki umysłowej.

Pionowo — 1) Przykrywką zegarka, wieczko, 2) Utrata pamięci, 3) Niemowa, 4) W kryształografii — ciało ograniczone trapezami, 7) Cały posiadany zapas wozów, samochodów itp., 8)

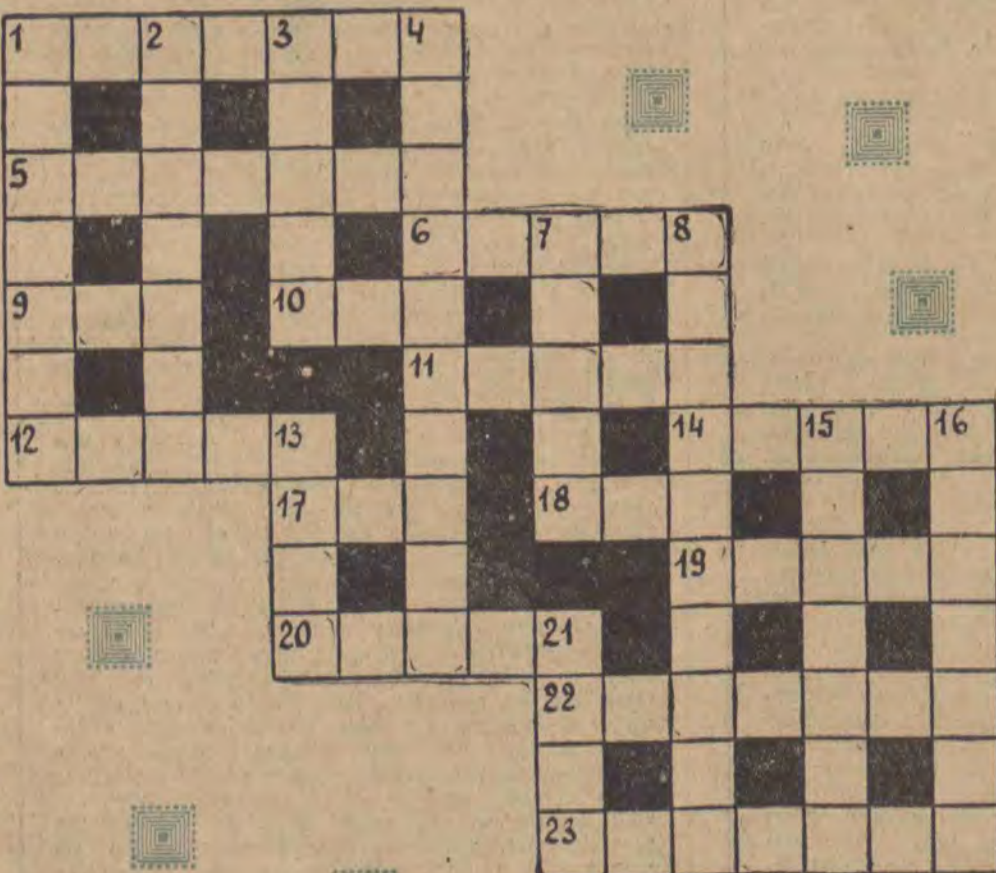
Przepisy służbowe normujące prawa i obowiązki pracowników, 13) Czołg, 15) Rosyjskie imię żeńskie, 16) Rodzina w szorstkości, której korzenie dostarczają rozpuszczalnego w tłuszczach barwnika stosowanego w przemysle perfumeryjnym i farmaceutycznym oraz w laboratoriach badawczych, 21) Jeden z muszkieterów, przyjaciel Portosa i Aramis.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 14 wylosowały:

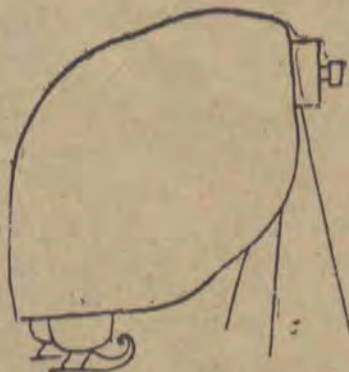
1. Gabriela Madzinek, Sanatorium Przeciwgruźlicze w Łagiewnikach, ul. Wycieczkowa 175;

2. Michałina Ożóg, Bielesko-Biała, ul. Sienkiewicza 9.



Najostrzejsze ołówki świata

STEINBERG



Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł
Redakcja nie zwraca reklamowanych reklam
Prenumerata przysyła wszystkie płatności pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579
z oznaczeniem na „Ogłoszy”
Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2699. IX. 68. M-10.

LUNAPARK

Rok I Nr 7

21. IX. 58



Po każdym takim ćwiczeniu tracimy 100 gramów masy tłuszczowej. W celu pewniejszego uzyskania ubytków tłuszczowych wskazany jest lekki posiłek według wzoru: 1) zupa „Nie”, 2) lina a la „lin”, 3) kurczę pieczone na sposób kurdebalansu, 4) paluszki do obliżywania, 5) wykalaczki.

Kalendarzyk tygodnia: Dziś Mateusza Barnaby. Słońce nadal wschodzi i zachodzi. W cieniu zimniej niż w słońcu, w słońcu jaśniej niż w cieniu, noce chłodniejsze od dni. Dalszy ciąg wyżu czarnomorskiego. Koguty pieją na grzędzie i na ziemi.

Codziennie dziesięć deka-gramów tłuszczu mniej czyni miesięcznie trzy kilogramy.

Zgodni z „Przekrojem” w twierdzeniu, że otyłość jest naszym wrogiem narodowym nr 1, otwieramy rubryczkę „Odtuszczajmy się”. Będzie- my w niej podawać sposoby predkiego a nie męczącego pozbywania się niepotrzebnych złogów tłuszczowych, będących przyczynami przed- wczesnego starzenia się, wię- dniecia cery, chłodu małżeń- skiego, podagry, chłiragry a nieraz i hemoroidów.

Do naszego dzisiejszego ćwiczenia potrzebne są: las- ka o trzy decymetry szersza od rozpiętości bark; wycina- my ją z lekkiego pręta lipo- wego, w najgorszym razie ze styliska mioty; nie nużące pantofle z paskami opinają- cymi grzbiet podbicia, szerokie fałdzone szarawary z lnianego, nieściśniętego płótna; z takiegoż przewiewnego ma- teriału siemnię gimnastycz- na, nie krepująca stanu i dająca się łatwo przeprać w zwykłej wodzie oraz de- koracyjny sznur z efekto- wnymi bączkami.



Ćwiczenie nr 1. Po- chylamy się przenosząc cały ciężar tułowia na prawa no- gę lekko przygiętą w kolo- nie i łaskę popychamy przed siebie ruchem stosowanym przez wódkarzy przy popy- chaniu wózków...



...opuszczamy łaskę możli- wie jak najniżej wyobraża- jąc sobie, że podnosimy z ziemi przy pomocy jarzma szynę kolejową...

Wypychamy łaskę ku gó- rze wyobrażając sobie, że dźwigamy na wysokość cół- pietra pełne nosilki mieszan- ki cementowej.



Z cyklu:

EROTYZM W PROZIE

W ostatnich numerach „Lunaparku” niezmordowa- nie cytowaliśmy bestseller Heleny Mniszek — „Trędo- wata”. Dzieło to chwalone w latach powojennych przez krytyka K. W. Zawodźni- skiego, nie wydane jeszcze ani przez PIW, ani przez „Czytelnika”, ani przez Łódzkie Wydawnictwo, pomimo że przed wojną doczekało się wielu wydań, dzieło wypoży- czane w naszej erze przez pokątne wypożyczalnie na godziny, nareszcie doczekało się godnego potraktowania: został z niego zrobiony sce- nariusz filmowy.

Jeszcze nie wiadomo, kto podejmie się realizacji tego dzieła, reżyserowie: Kawa- lerowicz, Ford, Forbert, czy wybijająca się już, ale nie dość jeszcze wybita mło- dzieńka nasza Saganka fil- mowa — Tatiana Mściwo- jewska? W celu zaspokoje- nia ciekawości czytelnika drukujemy fragment scena- riusza pod roboczym tytu- łem „Kamerdyner Mikołaj Bomba”.

Ordynatowa Stefa- nia: Ale dla przeogromnego uczucia...

Arcyksiążę Cymes: Dla przeogromnego uczucia, które nie jest nawet podnó- żkiem natury, zabawa to nie temperament!... to radosne kwilenie kolibrów w ogro- dzie udręczeń.

(W drzwiach palmiarni u- kazuje się Kamerdyner z świecznikiem w ręku. Oczy Bomby wpatrzone są w Or- dynatową jak w obraz).

Hrabina Idalia (od- rzuca się od stopy, poprze- dzana przez szum swej taf- towej szmizjery): To by było jednak konieczne, Waldey...

W naturze bowiem zawsze znajduje się pokazne miaz- ma... U jednych jest ono bardzo odległe od ostrego zęba pokusy, u innych jest objęte przez etykę i flegma- tyczność krwi. (Kuszącym szeptem). Czemu nie każeś mnie stąd wywieźć, ty szla- chetnie urodzony potomku Burbonów? Czy już nie czas, abyś mnie stąd wywiozł w krainę omdlewających ne- nufarów?

Ordynat Waldemar Michorowski: Nie mó- wi się miazma, lecz miaz- ma! Go! an, aj senk ju wery mocz!

Hrabina (zastanawiając so- bie twarz szaleń): Ale ja jednak muszę być twój!

Ordynat (klaszcząc):

Mikołaju, kalosze!

Kamerdyner Bom- ba: Czy jego dostojność nie zamierza brać swej wieczor- nej waleriany?



Już przysłała gipsowy od- lew swego ciała na konkurs „Mia Lunaparku 58”, ale za- pytujemy ciebie, o piękna: Czy nadal twierdzisz, że nie wiemy, iż odlew jest pozyty- wem torsu Ewy z XV wieku?

Ordynat Waldemar Michorowski: Nie za- mierzam jej brać! Podaj mi sole cucące z piramidonami. (Wpycha sobie w usta chus- teczkę, aby nie zaikać, ale ponieważ ika mimo to, wty- ka do ust rękawiczkę futrza- ną). Gdzie jest w tej chwili moja ukochana Steff? Czy już przestała grać na piani- nie „Pieśń bez słów” Potra Czajkowskiego?

Marszałek dworu (z lewą nogą tkwiącą w prawej nogawce spodni):



W tej chwili zajęła po- wóz baronowej Nicejskiej!... hrabia Morycon i hrabianka Montecuculi zabawiają się z księciem Symeonem Bez- grajcarowym w amfiladzie. Za chwilę wikom Capuletto- Cantabile oraz hidalgo wiel- kiej pieczęci atamana Ma- drytu Franco Wiañez Poma- da y Sewilla”.

(Dalszy ciąg prawdopodob- nie w następnym numerze)

Z Prasą

„Przekrój”, trzymający jąb zawsze rękę na pulsie życia społecznego, dał w numerze 699 taki oto rodzynek:

POŚREDNICTWO

W „Głosie Wybrzeża” (nr 192) czytamy ze zdumieniem: „W I półroczu roku ubie- głego jednostki MO pomogły prostytutkom w uzyskaniu pracy w 991 wypadkach, a w II półroczu — w 279”.

W takiej? — pyta cynicz- nie „Przekrój”.

— W uczciwej — odpowia- damy. — I — co ciekawie- dającej możliwość rehabilita- cji.

(Lunapark redaguje ZY- GMUNT FIJAS. Adres re- dakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować „Ogłoszy” z adnotacją: „Dla Lunaparku”).

odgłosy str. 11

Wycinek z „THE OBSERVER”

Living Image

By PENELOPE GILLIATT

THE Edinburgh Festival is in financial straits that might be described as Scots on the rocks, but its twin, the Film Festival prospers. Entries this year came from a record thirty-six countries, and the week has produced a work of joyful minor genius called *Two Men and a Crutch*, fifteen minutes long and made by Polish students. It is as good as its title: a private, unexplained, completely accessible fantasy that is both satiric and innocent. Two workmen emerge from the sea carrying a wardrobe, hampered but game, refusing to abandon it—and one does understand the commitment—they try to do communal urban things like riding on trams. Society rejects this, engaged pair with casual brutality, so they go back to the beach, treading respectfully around a child's sand-castles and submerge again.

ZYWY SYMBOL

Festiwal Edynburski jest w finansowych kłopotach, ale ma powodzenie jego

blizniak — Festiwal Filmowy. Tegoroczne zgłoszenia nadeszły z rekordowej ilości 36 krajów, a w pierwszym tygodniu pokazano pracę radosnego młodocianego geniusza z szafą, piętnastominutowy film zrobiony przez polskich studentów. Jest on tak dobry jak dobry jest jego tytuł: osobisty, niewytłumaczalny, pełen zrozumiałej fantazji, jest zarazem satyryczny i niewinny. Dwóch robotników wynurza się z morza niosąc szafę. Skrepowani przez nią, ale zdecydowanie odmawiają porzucenia jej i — można zrozumieć tę decyzję — próbują skorzystać z miejskich środków komunikacji, na przykładjechać tramwajem. Społeczeństwo odrzuca od siebie tę „pracującą” parę ze zwykłą brutalnością. Tak więc wracają oni na plażę, stąpając uważnie obok dziecięcych zamków z piasku i ponownie zanurzają się w morze.

(31. 8. 1958)

Tłumaczył A. PIOTROWSKI



Przyszłe gwiazdy?



Fotografował Anatol Kobylński

Dlaczego nie chodzisz do kina?

W ramach naszej ankiety drukujemy dziś pierwszą wypowiedź, otrzymaną od p. Jerzego Panasewicza, publicysty i krytyka teatralnego. Redakcja „Mieszanki filmowej” pozwoliła sobie poczynić pewne zlagodzenia w tekście „Postscriptum” — za co przeprasza Autora i Czytelników.

Dlaczego nie chodzę do kina? Bo go nie lubię — to proste. A przynajmniej nie lubię go na tyle, aby dać się zbyt często zamykać w dusznych, źle wietrzonych salach bez większej nadziei na ucieczkę, jeżeli obraz okaże się przypadkiem koszmarny. Wychodzenie w trakcie seansu uchodzi u nas za dość prowokacyjną odmianę chamstwa, co zresztą o tyle nie jest dziwne, że przeciskając się w ciemności między ciasno ustawionymi rzędami krzeseł radzi nie radzi musimy deptać ludziom po nogach, a na wirachach przysiadając dla odsapki na cudzych kolanach.

To jest niemile — rozumieć — ale z drugiej strony ja naprawdę bardzo nie lubię się męczyć za własne pieniądze. I o niebo chętniej ścierpię wszelkiego typu bzdurę czy chałnę na scenie niż na ekranie. Bo teatr to jednak jest coś namacalnego, konkretnego, żywego, zmieniającego się z dnia na dzień. — Ta aktoreczka ma chrypkę i rozumiemy co piate słowo — możemy sobie powiedzieć — ale przecież za jakiś czas jej ta chryпка przejdzie...

Natomiast aktorki filmowe nie mówią chrypek. A jak mówią, to się pewnie nagrywanie dźwięku odkłada o tydzień czy o miesiąc, aby go potem w przeciągu pięciu minut gruntownie schrzaniła wadliwa aparatura. I czyż to nie może być denerwujące? Czyż nie może być denerwująca świadomość, że reżyser wraz z operatorem i sztabem asystentów jeszcze długo trzaskają i bledzą, aby aktorka w im tylko wiadomy a przemyślny sposób efektywnie pokazała nogę? A my — dajmy na to — wiemy prywatnie, że aktorka ta w ogóle jest nogą i z nóg samych składa się tylko.

Oczywiście przejawiam. Ale tak jak dla melomana najdoskonalsze nagranie najdoskonalszej orkiestry nigdy nie zastąpi w pełni przyjemności bezpośredniego odbierania koncertu.



— Nie lubię...

odbierania koncertu bez rebusów i poprawek, gdzie każda sypka pianisty czy każda pomyłka w tempach jest nie tylko słyszalna, ale nieomal i widzialna — tak dla miłośnika aktorstwa film nie zastąpi ani nie podmieni teatru.

I nie musi zresztą. Ze jednak nie przeprowadzam tu ogólnostetycznego wywodu, a tylko relacjonuję mój bardzo prywatny punkt widzenia, więc myślę iż w niczym nie uchybiłem godności ankiety, odpowiadając na nią tak właśnie.

Powtarzam tedy: w chwili gdy przyska iluzja, gdy odbieramy jako całość obraz filmowy zaczynamy rozkładać na elementy, gdy dostrzegamy w nim coraz liczniejsze fałszywe i kłamstewka, gdy pseudodramatyczność poszczególnych scen poczyna mnie nieodparcie śmieszyć, a pseudokomiczność innych pobudzać do łez — wówczas rozglądam się rozpaczliwie dookoła i myślę, jakby tu uciec z tego sanktuarium X Muzy. Ale jestem nieśmiały i zostaję i mam dosyć na dwa najbliższe tygodnie. Co najmniej.

Jerzy Panasewicz

PS. Ostatnim, nie mieszczącym się już w log'cznym toku wywodu, powodem, dla którego nie chodzę do kina jest fakt, że pewien obraz, którego bardzo nie lubię — dostał swego czasu nagrodę państwową.

A. J. PIOTROWSKI

OSTATNI AKT

Niegdyś ztyłaliśmy się, oglądając w filmach produkcji radzieckiej — Hitlera mówiącego się po ekranie, komiczną, rozhisteryzowaną kukłę. Czy ten człowiek — pytaliśmy — dowodził wojskami, które bądź co bądź poczyniły spustoszenie w starej Europie i Kwałku Azji? Czy tak niepoważnie wyglądał osławiony „führer”? Czy postać, która zda się być wynikiem fantazji karykaturzysty, jak ów Hitler ze znanego obrazu Kukryniksów — nie uraga zasadom prawdy historycznej? Ba, był czas, że skłonni byliśmy utrzymywać, że karykaturalne naszkicowanie postaci przeciwnika — osłabia sens zwycięstwa nad hitleryzmem. A teraz...

Teraz nikt inny jak Pabst i zachodnoniemiecka wytwórnia filmów fabularnych pokazuje nam „Ostatni akt”, gdzie Hitler mało co różni się od tamtych krytykowanych przez nas wzorów, a pod względem fizycznym nawet bardziej niż one różni się od swego wojowniczego pierwowzoru.

Czy jednak fakt typu podobieństwa fizycznego odgrywa w takim obrazie rolę najważniejszą? Zaryzykuje twierdzenie, że jest to najabsurdalniejsza bodaj pomyłka kina. „Podobieństwo” bohaterów „Ostatniego aktu” (filmowego — Goeringa, Hessa, Goebbelsa i innych) w zasadzie mało można zarzucić, przypominają postacie ze znanych nam fragmentów starych kronik i fotografii. A jednak — film jest nienajlepszy. Może więc zawiniły odstępstwa od autentyzmu wydarzeń? Może zbyt wiele dodano albo ujęto? I to nie. Przecież film Pabsta nie wnosi zbyt wiele w zakres fantazji scenarzysty. Opowiadanie trzyma się na ogół dość wiernie znanych wydarzeń i przynajmniej od razu — bardzo ciekawie spełnia wymagania przelanej przez reżysera koncepcji. Oto kamera bardzo rzadko wybiega poza teren ukrutnego wódzienia bunkru, dzięki czemu powstaje atmosfera akuratu odpowiedzialności dla tego typu rzeczy.

A jednak „Ostatni akt” nie

jest dramatem najwyższej próby. Otóż właśnie odstępstwa od autentyzmu, nawet te nieznaczne, pogłębiły całe zamierzenie. Wplecione w ten pseudodokumentalny wątek postacie wymyslane — okazują się mało przekonującymi i mimo interesujących nawet odwrótców — wypadają blado. Tak jest z postacią młodego oficera, kapitana, bohatera żelaznego krzyża, upożowanego na Hamleta (Oliviera!) z gestami, a nawet przywką szesnastowieczną na czoło włócznie. Szlachetny ten młodzieniec miota się (tak!) po kancelarii wodza III Rzeszy i wędruje w swoich zamiarach napotyka na głupotę, nieudolność i mityczną „zmowę generatów”. Obserwując wymienione rzeczy — odkrywamy okiem dziarskiego młodziana — widz anno domini 58 musi wyrazić zdziwienie, że armia dowodzona tym systemem zdolała prowadzić wojnę przez pięć okrągłych lat. Czyżby Pabst zamierzał dowodzić swoim „Ostatnim aktem”, że Niemcy przegrali wojnę (przynajmniej w sensie militarnym) dzięki nieodpowiedzialności i ignorancji swego naczelnego wodza? Dzięki głupocie i zacięskanemu zacietrzewieniu skupionych wokół niego oficerów?

Ta teza jest zbyt ryzykowna, żeby ją traktować serio. W każdym razie, w klimacie „Ostatniego aktu” coś z tego jest i to może najbardziej niepokoić.

WRZESIEŃ W KINIE

Po trosze przy udziale dobrotliwego spadku, a trochę za sprawą aktualnego „ustroju” naszego kina (nareszcie odpowiedzialna komisja zakupów!) pojawiają się na naszych ekranach znakomite filmy. Poza przypadkiem i rozważą komisji ma w tym także swój udział zjawisko poboczne. Otóż dobre filmy pojawiają się m. in. i na zasadzie naturalnej rekompensaty. Przychodzi więc tytuły niegdys pomijane przy zakupach (jak na przykład filmy Reeda, reprezentowanego dotąd jedynie przez znakomitą zresztą obraz „Niepotrzebni mogą odejść”. Uwaga, CWF: czy nie warto by było wznowić tego filmu?). Dzięki temu widzieliśmy także dawne filmy Marcela Carne i in. Ale zaraz trzeba poczynić uwagę, że tych dobrych i znakomych filmów, które naszej widowni należą się tytułem rekompensaty — praktycznie rzecz biorąc — nie ma zbyt wiele... Istotnie, mamy najlepszy na świecie repertuar (ktoś to już powiedział), ale przeglądając konkretne tygodniowe wykazy, zarówno łódzkie jak warszawskie — niestety — nie wiadac tego... Pomijając dobrą premierę polskiego filmu („Wolne miasto”), od dawna już obcanych „Walkoni” lub filmy z tych lub innych przyczyn atrakcyjne (trzy serie „Cichego Donu” za jednym posiedzeniem „Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu”, „Zagubiony kontynent”) repertuar

wrześniowy odbywa się bez cudów. Ale Warszawa ma „Zagubiony kontynent”, a Łódź jeszcze nie. Poza tym drobnym szczegółem w repertuarze — warszawiak analogicznie jak łódzianin — nie ma zbyt wielkiego wyboru. Ekranu zapełnione są tytułami zgrywanymi chyba zbyt długo albo wznowieniami, których cel nie zawsze można sobie wytłumaczyć, bo w każdym razie nie ma miejsca (równocześnie!) na nowe i entuzjastycznie zapowiadane obrazy.

Zarazem warto podkreślić aktywność naszej instytucji zakupu, przejawianą na przykład przy nabywaniu filmów zachodnoniemieckich. Oto bardzo niedobry zresztą film „Rose Bernd” (reżyserii Wolfganga Staudtego) przy udziale Marti Schell i Rafa Vallone — jednocześnie prawie miał swoją premierę w Gdyni (!) i w Paryżu (!!!). Ponieważ jednak film jest kiepski, przeto i powodów do zachwyty raczej nie ma. To tylko tempo można pochwalić — niestety — nie wybór. Ale za to lada dzień pojawi się u nas inny film zachodnoniemiecki, jest to „Ostatni akt” — Pabsta (patrz felieton obok).

Trudno wymagać, żeby wszystkie zakupy były dobre. Niestety, kinematografia światowa produkuje różne rzeczy, a do brych — niestety — coraz to mniej. Wiadomym tego przykładem może być dla ko-



Scena z filmu „Kochankowie z Werony”.

goś pasmo sukcesów, odnoszonych przez polskie obrazy w szrankach międzynarodowych. Dla kogoś innego — przykładem doświadczeń jest jeszcze i jeszcze bardziej namacalnym — aktualny repertuar naszych kin.

EDWARD ETLEB